Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Sosny. Fot. Jan Bończa Markowski.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

NR. 31 (635). 1 SIERPNIA 1931 R.

Zbiegi słów zwierzęcych.

Zobaczyć: słonia chorego na „elephantiasis“; osowiałą wydrę i rozwydrzoną sowę.

Ptaki a postęp.

Ptaki siadujące dawniej na drutach telegraficznych, przeniosły się obecnie na anteny.



Gajówka na Polesiu. Fot. J. W. Krauze.

Myśliwski Konkurs Fotograficzny.

Dążąc do udoskonalenia strony ilustracyjnej pisma, redakcja „Łowca Polskiego", dorocznym zwyczajem ogłasza myśliwski konkurs fotograficzny.

P. P. Myśliwi zechcą nadesłać nam ciekawsze i piękniejsze zdjęcia łowieckie, które mogłyby się nadać do reprodukcji w naszem piśmie.

Na zdjęciach podać należy: krótki tytuł zdjęcia (ewentualnie nazwę miejscowości) oraz godło autora fotografji.

Nazwisko i adres, wypisane wyraźnie, pomieścić należy w oddzielnej, zaklejonej kopercie, opatrzonej tem samem godłem co i nadesłane fotografje. Przedmiotem zdjęć mogą być sceny z polowań, zwierzyna żywa i ubita, piękne psy myśliwskie i trofea łowieckie.

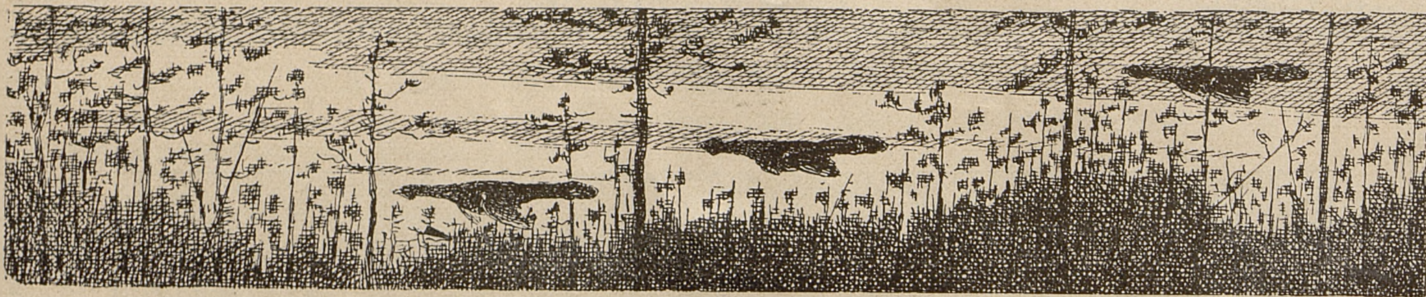
Nagrodę I-szą stanowić będzie suma zł. 100.—, II-gą zł. 50.—, III-cią i IV-tą nagrodę — roczna bezpłatna prenumerata „Łowca Polskiego" i V-tą nagrodę ½ roczna prenumerata „Łowca Polskiego".

Jury składa się z członków Komitetu Redakcyjnego.

Termin nadsyłania zdjęć upływa z dniem 15 października r. b.

UWAGA: Warunkiem otrzymania dobrej kliszy drukarskiej, a następnie wyraźnej i przejrzystej reprodukcji — jest ostra fotografja, właściwie eksponowana i odbita na papierze bromosrebrnym. Najbardziej pożądany jest kolor odbitki czarny; koloru sepjowego mogą być tylko odbitki bardzo ostre i wyraźne.

Redakcja „ŁOWCA POLSKIEGO"



· F R A G M E N T Y.

(Z CYKLU „WIOSNA").

(Zob. Nr. 30).

Mniej pomyślne horoskopy można nakreślić dla Smołodowieckich i Maniewickich lasów pana B., gdzie jednak padły bodaj najwspanialsze okazy rysia. Niepomiernie wydłużone, pozbawione niedostępnych bagien, knieje Smołodowieckie graniczą z leśnymi obszarami Chałuzja i Lisowa, na których od szeregu lat uprawia się rabunkowa gospodarka leśna, wraz z tragicznie rozwielmożnionem kłusownictwem i brakiem wszelkiej ochrony. Ryś w swych dalekich wędrówkach lubił przejściowo zatrzymać się w ostępach Smołodowieckich rewirów, obfitujących w jarząbki i zające, gdzie bez wielkich trudów raczył się smacznym długouchem lub delikatnym jarząbkiem. Musiał wszakże opłacać za to haracz właścicielowi, któremu każdy sezon łowiecki wyrównywał krzywdę cennem swem futrem. Jednak od dwóch ostatnich lat pan B. nie tylko nie spotykał się z rysiem na swoich terenach, lecz nawet nie oglądał tropów tego zbója, który widocznie ostatecznie wyeliminował Smołodówkę z dotychczas stałej orbity swych podróży.

Oba omawiane tereny, chociaż zasadniczo różne, posiadają takie walory, które mogą zadowolić wymagania najwybredniejszego myśliwego; gruba zwierzyna, toki głuszców i cietrzewi, ciągi słonek, wodne i błotne ptactwo w czasie wiosennych i jesiennych przelotów, wysypki kszyków i dubeltów, oraz lęgi cietrzewi i jarząbków tworzą jakby jedną nieprzerwaną całość korzystania z uciech sezonu łowieckiego. Obszary Karasińskie, ciężkie, pełne bagien, trzęsawisk i mocnych zarośli, nie są łatwe do opolowywania, przypominają puszczę z jej niedostępnymi matecznikami, topielami i ostępami nie do przebycia, gdzie dla zwierza i ptaka jest zapewniona nietylko bezpieczna kryjówka, lecz i spokojny ląg, oraz słusznie się pysznią pozakonkursowym stanem głuszców i cietrzewi. Przeważnie suche, łatwe do przebycia i nadające się do łatwego obstawienia i brania niedużych zakładów tereny pana B. posiadają specjalny, jakby świąteczny, urok obdarzania miłą, niemęczącą rozrywką, która jednak w każdej chwili gotuje niespodziankę: najbardziej pożądaną przygodę myśliwską. Kto z właścicieli naszych łowisk może się poszczycić tem, że dla facecji przywoził autem w głąb kniei rozbawione panie i doprowadzał je, bez żadnego uszczerbku dla balowych pantofelków, do pnia drzewa, na którego wierzchołku głuszec w ekstazie miłosnej żądzy grał pieśń za pieśnią?! Chyba tylko pan Antoni B.

Ani trochę przeczulony na punkcie hodowlanym, łagodny, skromny o wyjątkowej dobroci serca pan Michał S., dziedzic Karasina, ani wesoły, szczery, dowcipny i serdecznie gościnny Maniewicz i Smołodówki — pan Antoni B. nie pragną rozgłosu, nie uganiają się za zdobywaniem rekordów łowieckich i strzeleckich, lecz tacy hodowcy i myśliwi, tacy miłośnicy natury oraz jej czworonogich i skrzydlatych dzieci, jak się mówi, „bodajby na kamieniu się rodzili", a św. Hubert radowałby się w niebiosach niezmiernie i... patronowałby nam, polakom, bez cienia szowinizmu.

Żart na stronę. Poza gremjalnemi tokowiskami, na których się zbiera po kilkaset sztuk, ilość Karasińskich cietrzewi, tokujących omal że nie na każdym kroku na drzewach, po wrzosach, na bagienkach i na leśnych drożynkach, nie poddaje się nawet przypuszczalnemu obliczeniu. Co się zaś tyczy specjalnych pupilów pana Michała — głuszców, to stan ich obecny jest niezbitym dowodem tego, jakie cuda mogą stworzyć dobra wola, wielkie zamiłowanie, oraz niezmordowane, często kolidujące z materjalnemi możliwościami wysiłki i ofiary prawdziwie zasługującego na uznanie, hodowcy-myśliwego. Po ostatniej wojnie, trzy — cztery głuszce, ocalone od ostatecznej zagłady wolą tylko przypadku, świadczyły, jak jakieś muzealne okazy, o dawnej świetności Karasińskich uroczysk. Obecnie wiosnę spotyka granie około trzechset pieśniarzy, a ileż to jeszcze milczących spryciarzy gołowąsów lub perfidnych krechtunów korzysta z okazji i nie bez skutków nastaje na cnotę haremu upojonego wokalnemi zdolnościami sułtana - artysty.

Uroczyska: „Zachnycze", „Babja Wereta", „Krywaja Wereta", „Niepobiedimoje", „Porochnycia", „Josiw Dub", „Ćwietucha", „Dołgoje", „Kruków" „Pjata" i inne pomniejsze są przepełnione głuszcami, a na głównych tokowiskach wieczorowe zapady trzydziestu, czterdziestu ptaków bynajmniej nie są rzadkie. Samo przez się rozumie się, że Smołodowieckie tokowiska głuszców, gdzie w uroczyskach

„Ranieckij Ostrów", „Ranieckoje bagno", „Pidczeremiszje", „Berezowiczki" i inne gra najwyżej czterdzieści głuszców, nie mogą konkurować z Karasińskiemi.

Kompleks lasów Karasina dzieili się jakby na dwa odrębne łowiska: „Zuzankę" i „Berłożyszcze". W czasie polowań zimowych punktem wyjścia oraz zbiórki i noclegu zawsze jest gajówka na „Zuzance". Na wiosnę zaś, zależnie od tego, gdzie jest wyznaczony odstrzał głuszców, myśliwi rozlokowują się albo w gajówce na „Zuzance", lub w „budach", urządzanych corocznie na „Berłożyszczach" w uroczysku „Zachnycze" na suchych, piaszczystych, porośniętych sosną i świerkiem, pagórkach.

Czy to w ścianach gajówki na „Zuzance", czy przy ogniskach przed „budami" na „Berłożyszczach" — gwarno, rojno i wesoło spędza się czas. Meldunki z obsadów i podsłuchów, sprawozdania o tokowiskach cietrzewi, o wypatrzonych miejscach ciągów słonek, oraz zapewnienia o pomyślnych widokach na wyzyskanie zdradliwych zdolności „krekuch" — wywołują szereg komentarzy i gorących dyskusyj na zawsze aktualne tematy: kto, dokąd, na co i kiedy wyruszy, oraz który z leśnych wyg, między którymi dzierżą prim stary Semen i jego syn, Kondrat, będzie przeznaczony do prowadzenia. Bezsprzecznie najlepszym i najpewniejszym jest Kondrat, gdyż Semen, mocno nadgryziony zębem czasu, już się wykończa i woli siebie oszczędzać. Obaj jednak znają lasy, jak własną kieszeń, posiadają świetną technikę prowadzenia łowów na wszelkiego rodzaju zwierzynę Polesia i... godni są podziwu, gdyż umieją bez zarzutu „nabierać" na „kawały i sztuczki poleszuckie" mniej doświadczonych myśliwych. Umiejętność ta jest zasadniczą cechą każdego szanującego się poleszuka, który posługuje się nią w bardzo swoisty, a często i naiwny sposób, jedynie w celu przekonania się: „a szo z toho bude" (a co z tego będzie). „Ciłu zimu baby napraciuwały sia nad połotnom". — Opowiada o swej przygodzie poleszuk. „Jak pryhriło sonce porozwiszały po kuszczach, chaj pobilije. Jakos dywlusia: ide czużyj czołowik... skradujecia. Dumaju: czekaj! szo ty za takyj? a czoho tebi treba? a pobaczymo szo to z toho bude? — Schowawsia ja i pryhladujusia. A win ide potycheńko do połotna; a ja sydiu, taj smijusia; dumaju czekaj! pobaczymo szo z toho bude. Pidijszow łychoman błyzenko, błyzenko, ohladajecia, taj poczaw zwertaty połotno; ja sydiu, tycheńko, ta wse dumaju: aha chocze wkrasty, nu, nu, pobaczu ja szo z toho bude: zwernuw win połotno, a ja wse mowczu; a win szuść w korczi, a ja todi wyskoczyw, ta na nym w pohoniu, ta kryczu; czekaj durnyj! kudy ty? to szo ty robysz? ta szo z toho bude? a win u lis, taj szczez. Propuło moje połotno po sej deń".

(Całą zimę kobiety pracowały nad wyrobem płótna. Gdy przygrzało słońce, powiesiły płótno na krzakach, aby wybielało. Jednego razu patrzę: idzie jakiś nieznany człowiek, skrada się. Myślę sobie: poczekaj! coś za jeden? czego potrzebujesz? a zobaczymy co to z tego będzie? Schowałem się i przypatruję się. A on pocichutku idzie do płótna; a ja siedzę w ukryciu i śmieję się: myślę, czekaj, czekaj zobaczymy co to z tego będzie. Podszedł złoczyńca bliziutko, ogląda się... zaczął skręcać płótno: ja siedzę cichutko i ciągle myślę: aha! chce ukraść, nu, nu, zobaczę ja co to z tego będzie. Zwinął on płótno, a ja wciąż milczę; a on skoczył w krzaki: wtedy ja wyskoczyłem z ukrycia, pogoniłem za nim i krzyczę: czekaj, durniu! dokąd ty? co ty robisz? a co z tego będzie? A on w las i znikł. Przepadło moje płótno po dzień dzisiejszy).

Naogół psychologja tego ziemnowodnego ludu jest trudno zrozumiała. Niewybredny w wymaganiach, zabobonny, czasami dobroduszny, bardzo rzadko szczery, odporny na wpływy cywilizacji, niepozbawiony chytrości i sprytu dzikiego stworzenia, dziecinnie okrutny — zakuty poleszuk zawsze radzi sobie po swojemu, uważa siebie za bezwzględnie mądrzejszego od „pana", a jednak nigdy „panu" otwarcie oponować nie będzie, oraz nigdy swego zdania wręcz nie wypowie; w razie potrzeby będzie łasił się, przypochlebiał lub łgał kunsztownie; w założeniu każdy jest kłusownikiem, lecz kłusownikiem prędzej dla sportu, niż dla materjalnych korzyści; jak dziki nomada — łowiec zamierzchłych czasów zna doskonale psychologję każdego zwierzęcia, każdej żywej istoty rodzimych puszcz, rojstów, bagien i trzęsawisk, które są jego żywiołem i gdzie orjentuje się, posługując się czy to instynktem, czy jakimś nieznanym, dodatkowym zmysłem; polowania lubi i gotów przyjmować w nich udział pośredni przy najcięższych warunkach terenu i pogody,



Buda w Zachnyczach. Fot. St. Skrzyński.

w gruncie rzeczy wymagając za swe usługi bardzo małego wynagrodzenia; czyny swoje tłumaczy po swojemu i w głębi duszy szczerze dziwi się, że „pany" nie mogą go zrozumieć, chociaż to takie „jasne" i „proste" Gdy pod jego często kołtuniastą czaszką zbudzi się drzemiące: „szo z toho bude?", lub „szob ne buło" (ażeby nie było), to wyniki tego przebudzenia będą zdumiewające: Złapany przez gajowego na gorącym uczynku tłuczenia kijem głuszycy, na której gniazdo natknął się w lesie, oberwał wcale porządne i dobrze namacalne lanie, w następstwie którego przez dłuższy czas chadza omal że nie na czworakach. Posłuchać tylko, jak się żali i uskarża: „Boh joho znaje czoho win skazywsia. Szow ja, baczete, lisom. Niczoho zdajecia na wkraw, nijakoji szkody w lisi ne zrobyw; machaw sobi pałyczkoju taj hodi. A win wyskoczyw, mow neczysta syła, wyder mojuż pałyciu, taj poczew czystyty; po hołowi, po rukach, po kryżach, de kudy popało; pobyw moju pałyciu na dribni kawałoczky; szkoda kyjka, dobryj buw, mienyj, try hody ja nym pidpyrawsia. Czoho win chtiw, zaszczo tak nado mnoju smuszczawsia? ta ja i sam ne widaju". (Bóg wie czego on wściekł się. Widzicie, szedłem przez las. Niczego, zdaje się, nie skradłem, żadnej szkody w lesie nie zrobiłem; machałem sobie pałeczką i już. A on wyskoczył, jak nieczysta siła, wydarł moją własną pałkę i zaczął czyścić (prać) po głowie, po rękach, po krzyżu, gdzie i jak trafiło; pobił na mnie moją pałkę w drobne kawałeczki; żal mi kijka, dobry był, mocny; podpierałem się nim trzy lata. Czego on (gajowy) chciał, za co tak nade mną znęcał się? — ja i sam nie wiem). „Jak to za co? — a tłukłeś jaja, czy nie?" — „Abo ja znaju, możej potowk". (Czy ja wiem, może i potłukłem). — „No widzisz! A powiedz, w jakim celu potłukłeś jaja, wszak zniszczyłeś cały ląg i za to dostałeś od gajowego". — „Jaż ne kraw i ne ochotuwawsia, a win i mene pokaliczyw i pałyciu moju połomyw". (Wszak ja nie kradłem i nie polowałem, a on i mnie pokaleczył i moją pałkę połamał.). — „Ale powiedz-że szczerze, dlaczego zniszczyłeś jaja, co ci one zawiniły lub w czem przeszkodziły?" — Następuje najmniej oczekiwana dla nieznających poleszuków odpowiedź: „A szob ne buło". (A żeby nie było (nie istniało).

Nie wiadomo z jakich powodów w bestjalski sposób zamordował swego ziomka, z którym w najlepszej komitywie włóczył się po lesie, w dodatku szpetnie zmasakrował trupa. Czy ofiara skrzywdziła go? czy ją nienawidził? czy dopuścił się mordu przez zemstę lub dla korzyści osobistej? — Gdzież tam! Odpowiada: „nie". Dlaczegóż zabijał? „Ot tak, zabyw" (Ot tak zabiłem.) i w swoje „ot tak" wkłada całą moc przekonania, że tak się stać musiało i że w tem jego żadnej winy niema. Co spowodowało znęcanie się nad trupem? — Widocznie zainteresowany takiem, nowem dla niego, zagadnieniem namyśla się nad odpowiedzią i wreszcie rozwiazuje zadanie z jawnem zadowoleniem i ulgą: „szob ne muczywsia"!! (żeby się nie męczył). Niszczycielskie skłonności opanowały go całkowicie: borykać się z niemi nie umie i nie może. „Szob ne buło" dało mu nakaz, któremu skwapliwie, bez namysłu i oporu podporządkował się. Jego brudna, niechlujna, wiecznie zapracowana, z obciętymi stosownie do odwiecznego zwyczaju włosami „baba" (żona) pozostała taką, jaką był jej antenatka z przed lat tysiąca. Wszystkie kobiety są do siebie podobne, jakby wyrobione według jednego wzoru i są jednakowo odrażające. Wyjątki możliwej urody kobiecej trafiają się bardzo rzadko i to przeważnie między dziewczętami, jako niezbity dowód domieszki i przylewu krwi dorodnych ukraińców — sąsiadów lub u powojennej generacji, jako ślady długiej gościny teutońskich, czasowych zwycięzców. Ale bo też i życie poleszuckiej „damy" jest straszne: lenistwo mężczyzny, który, poza włóczęgą po lesie, czując organiczny wstręt do systematycznej, uporczywej pracy, nie kwapi się do niej i jej nie poszukuje, chyba że głód dotkliwie skręci mu jelita lub wielkie zamiłowanie do kieliszka zmusi go do przerwania stanu bezczynności; niewolnicze harowanie od świtu do nocy, aby włożyć coś do gęby nietylko swego władcy — męża, lecz i z każdym rokiem zwiększającej się kupy rachitycznych dzieci, oraz straszliwa nędza, nędza bez końca i bez nadziei na lepszą przyszłość — oto warunki bytu kobiety, które od iks lat przyczyniały się do wytworzenia typu poleszuczki.



Semen i Kondrat prezentują rozkład.
Fot. St. Skrzyński.

Najmilszą atrakcją wiejskiego pożycia poleszuków jest spijanie wódki; czynność ta dominuje nad wszystkiemi innemi. Uświęcony obyczajem środek załatwiania osobistych porachunków, t. zw. „puszczanie czerwonego koguta" (podpalanie) stosowany jest w jaknajszerszym zakresie. „Duże harno horiło" (bardzo ładnie paliło się) — stwierdza zadowolony obserwator — poleszuk. Nie uniknął tej przyjemności i stary Semen, którego cała zagroda poszła z dymem. Tyle o „miłym" ludku Polesia.

Roczny odstrzał głuszców w Karasinie jest minimalny i nie przekracza 10—12 sztuk, cietrzewie zaś są pozbawione jakichkolwiekbądź ograniczeń i przyczyniają się do znacznego powiększenia rozkładów.

C. d. n.

GEN. ST. SKRZYŃSKI.



PAN PAWEŁ KWACZ.

(Zob. Nr. 30).

IV. TERENY ŁOWIECKIE PANA KWACZA.

Niegdyś spotkałem pana Kwacza na ulicy. Jesienna pora, nastręczała nam dość tematów do pogawędki. Co chwila z pod trójbarwnych wiech wybiegało donośnie i basowo:

— A ja go pęc! z jednej, pęc! z drugiej lufy!

Utyskiwałem na kiepski stan zajęcy i na ostatnie polowanie, kiedy to w czternaście strzelb zabiliśmy pięć kotów i parszywego lisa w dodatku bez ogona.

Pan Paweł zaśmiał się tak niesamowicie, że starsza dama, podążająca trotuarem, zatrzymała się i, nieco pomyślawszy, przeszła na drugą stronę błotnistej uliczki.

— Ha, ha, ha! a przecież mówiłem i mówię ciągle: kto chce bić zające — niech się trzyma pana Kwacza! Może nie mówiłem? To mi dopiero polowanie! Mnieby hakami nie zaciągnęli do waszych kółek i jakichśtam towarzystw! O nie! Darmo!

Muszę tu zauważyć, że pan Paweł miał skądinąd uzasadniony żal do naszego Towarzystwa, które lekkomyślnie odrzuciło zaszczyt zaliczenia go w poczet swych członków i — z bólem muszę wyznać — odrzuciło wśród wybuchów wesołości.

— A ja u siebie — ciągnął pan Kwacz — nie dalej, jak onegdaj wziąłem siedem zajęcy. Zabawiłem niespełna godzinkę, bo przecież musiałem jechać po „towar" (konopie w tym wypadku). Wybierałem co większe, a pomknęło mi ze dwadzieścia. — Tu mimowoli wyrwał mi się gest pewnego powątpiewania. Zresztą na tle bezwzględnego zachwytu.

Pan Kwacz się żachnął: — Nie wierzy pan? Co to dzisiaj? Czwartek? W niedzielę, jeżeli pan nie pogardzi, zajadę po pana, ale o piątej rano i spróbujemy! Jeżeli nie pokażę panu ośmdziesiąt zajęcy, to nie będę Kwaczem.

Na cyfry, szafowane rozrzutnie przez pana Pawła, wynalazłem po dłuższej medytacji następujący wzór empiryczny: cyfry te należało dzielić przez nie same i ten bądź co bądź skromny iloraz pomnożyć przez spółczynnik prawdopodobieństwa, wynoszący od jednego do trzech, zależnie od epickiego napięcia interlokutora.

— Cóż — pomyślałem — łże zdrowo, ale na zwierzynę mamy niesłychaną posuchę. Ryzyko niewielkie — można pojechać! — Ale, ale!—pozwólno pan—tu obejrzałem się i dyskretnie przytłumiłem głos — czy istotnie posiadasz pan jakiekolwiek tereny, bo to dzisiaj...

— A jakże! Na Wykatce dzierżawię — od chłopów! Zrobiłem im czternaście lin trzycalowych po dziesięć sążni i oddali mi pola na sześć lat. Mam im jeszcze dodać dwanaście sztuk, ale to później. I jakie tereny! Będzie tego ze trzy tysiące morgów!

— Ślicznie, ślicznie! — zaaprobowałem—jedziemy!

— A jak chłopi pilnują! Złapali tam jednego myśliwca i to nie byle kogo! Związali i chcieli prowadzić do gminy — ledwie się wyprosił. Ho, ho! Psy trzymają na łańcuchach, bo zapowiedziałem, że jak spotkam w polu, to w łeb bez pardonu!

Uspokoiłem się zupełnie: — Dobrze! jedziemy!

— — — — — — — — — —

— — — — — — — — — —

Przed świtem jeszcze opuściliśmy senne miastczko, zwolna (noga za nogą) pogrążając się w chłodne objęcia mgieł i zgłębiając bez wyraźnego zamiłowania tajemnice polnych, wyboistych dróg.

Kudłaty Jasio, uczeń powroźniczy pana Kwacza i obecnie prowizorjum woźnicy, powoził jak mógł i umiał, znakomicie wspomagany od tyłu przez swego chlebodawcę i, podejrzewam, skórobijcę.

— Nie ściągaj tak kobyły! nie bój się — mądrzejsza ona od ciebie...wie ona dobrze, którędy ma iść... wiśta, stara, wiśta! — dogadywał pan Kwacz.

— Kiedy ciemno! — stękał Jasio.

— To ja ci „zara" poświecę! — warczał przez zęby „skórobijca", owijając się szczelniej w burkę.

Gdy koła wasążka z chlupotem zapadały w większą kałużę — rozmowa była krótka i treściwa.

— A wywróć—no, wywróć... to ja ci wywrócę. Nie pożałuję ci postronka — nie!

I Jasio ze strachu jakoś nie wywracał.

Wogóle pan Kwacz, biorąc pod uwagę tak wczesny poranek, był dość rozmowny, co dowodziłoby, że powróżnictwo jest zajęciem nietylko pożytecznem, ale i zdrowem, uwzględniając choćby wysoce hygieniczne ćwiczenia w chodzeniu tyłem przy procesie kręcenia sznurków. W okolicy pomimo nieustępujących mgieł, orjentował się pan Kwacz wyśmienicie.

— Widzi pan tę łączkę... ot tam, gdzie trzy kretowiska razem. Od siedmiu lat spotykam tu zająca. Ca-

ły siwy już ze starości. A ogrom, a kolos! I teraz napewno siedzi... stój, Jasiu! — albo nie... jedź, jedź!... niech go tam!

— I w ciągu tylu lat nie mógł go pan upolować?— pytam sennie.

— A niech Bóg broni! Szkoda... a przytem nie jest on głupi, szelma! Wyjeżdża z kotliny na pół kilometra. Tego już nawet moja dwunastka nie wytrzyma, chociaż na dwieście kroków każdego położy.

— Na dwieście kroków — powtórzyłem machinalnie.

— Tak... mogę się z panem założyć!

Chłodno było, niezbyt byłem wyspany i ponadto uważam, że dysputa naczczo i miłość po obfitym obiedzie nie dają należytego efektu. Umilkłem więc i jąłem rozglądać się wśród krajobrazu.

Lubię jesień, lubię myśliwskie wyprawy prymitywnym wózkiem po mało uczęszczanych drogach w nieznane okolice. Szerokie rozłogi pustych, do cna wymiecionych pól ze swą szaro-zieloną szachownicą, stoją oniemiałe w bezruchu chłodnego powietrza. Gdzieniegdzie wydłużone do nieskończoności pasemko starej podorywy żółci się od dzikiego rzepaku. Dalekie, omglone kontury dworskich stert, dymy pastuszych ognisk, napoły zapadła w ziemię kapliczka wśród gęstwiny róż polnych, stadko szpaków, unoszące się nad ugorem, bolesny okrzyk samotnej, snadź zbłąkanej gęsi — słowem wszystko jest przejęte cichą troską, aby, broń Boże, tęsknota na ziemi nie wygasła.

— Tprum! — mruknął pan Kwacz, pociągając Jasia za kapotę.—Stój, byku! O! widzi pan— dodał, zakreślając ręką potężne koło — wszystko to, co pan widzi, to moje tereny!

— No... a ten las? — zapytałem, wskazując palcem błękitniejącą smugę na zachodzie.

— I las... zresztą, co tam las! zając siedzi teraz tylko w polu.

— A te ścierniska za stertami, przecież to chyba dworskie?

— I i — skrzywił się pan Kwacz — niby to ta i dworskie, przejdziemy i przez ścierniska... ale możebyśmy co przekąsili.

Wyciągnęliśmy zapasy, przetrąciliśmy należycie i nawet Jasio palnął sobie taki kielich tarkówki, że długo trząsł kudłami, pociągał nosem i wycierał rękawem zapłakane oczy — ku wielkiej uciesze pana Kwacza.

— Co? dobra? Jak dostaniesz, Jasiu, cholery, to zgłoś się do mnie, a ja już tą tarkówką postawię cię na nogi — nie bój się!

— No — odsapnął pan Kwacz, pokręcając bohaterskiego wąsa — ja pójdę wprost ku wsi na prawo, pan na lewo, a zejdziemy się na tym pagórku pod gruszą! I ty, Jasiu, tam poczekasz... tamtędy przechodzi droga. Daj koniom obroku, a pilnuj wózka, żeby ci kto czego nie ściągnął. Jazda!

Opatrzyłem broń, włożyłem dwa wielce miłe, nowiutkie „pociski" i, zwolna opanowując tempo gorączkowych ruchów, jąłem przeszukiwać chropowate zagony.

Pan Paweł chrząknął, wciągnął szyję (może ją połknął?),zgarbił się we dwoje i tak rozpuścił długie nogi, że wkrótce wsiąkł i rozpłynął się w szarości pól i powietrza.

Kluczyłem naprzemian to wśród zagonów roli, to ściernisk lub kartoflisk, nie omijając miedz wysokich i dołków, starając się za pomocą t. zw. „myśliwskiego węchu" wynaleźć zajęczą kotlinę. Ale nie było to rzeczą łatwą na terenach pana Kwacza. Proszę sobie wyobrazić: pas bujnej, ciemno-zielonej oziminy, obok stara, brylasta podorywa, tuż wysoka miedza, zarośnięta tarniną i ożynami, okólny układ terenu falisty, — słowem — raj! i gdybym był zającem, tubym właśnie wylegiwał się i rozpaczał nad swym losem — po obfitem śniadaniu. A tu nic — pustka! Tylko jakowymś sennym ruchem poderwie się niekiedy skowronek, lub zapóźniona przepiórka z piskiem wyleci z wypłowiałego ścierniska.

W takich chwilach szybko poddajemy się nudzie i zmęczeniu, strzelba ciąży w ręce i wzrok się nuży niesłychanie — jak nad jałową książką.

Lecz zając w końcu się znalazł. Bryknął mi niespodzianie z pod samych butów i to na zupełnie gładkiem miejscu. Obaj zdetonowaliśmy się srodze. Kot wykonał narazie parę niezdecydowanych co do kierunku susów, niby kreśląc djagramę strachu, w trakcie czego zdążyłem szybko spudłować z prawej lufy. Ale radziłbym po koleżeńsku strzelać najpierw z bardziej rozważnej, mianowicie z lewej lufy — oszczędziłoby to nam wiele kosztu i wstydu. I w tym wypadku lewa lufa poprawiła sytuację na moją korzyść i kot ukazał mi swe śnieżne pobrzusze w całej okazałości. Powędrowałem z nim pod odległą gruszę, gdzie Jasio niby oczekiwał, chrapiąc w najlepsze dla siebie, zaś „w najgorsze" dla dobra, znajdującego się w bryczce.

Koniki strzygły uszami, przysłuchując się ciekawie nieznanym produkcjom dźwiękowym.

Słońce podeszło wyżej i zaczęło dogrzewać. Mówiąc perwersyjnie — ostudziło ono moje zapały do dalszych poszukiwań. Zapaliłem papierosa i postanowiłem wypocząć. Dobrze jest przypaść do wygrzanej, pachnącej jesienią, matki-ziemi, odetchnąć emanującą z niej ciszą i podumać sobie bezładnie i bez zobowiązania — poprostu na cztery wiatry. Z tej siesty rozbudził mnie drżący głos Jasia.

— Proszę pana!... proszę pana!

— Co Jasiu?

— Pana majstra chłopi łapią...

— Gdzie? Co ty opowiadasz?

— Żebym tak zdrów był! A o het! — wskazywał palcem.

Spojrzałem poza siebie. Mym oczom przedstawił się następujący, nigdy niezapomniany, widok: zagonami wśród tumanów kurzu pędziło kilku kmiotków. Ich bojowe, wzajemnie zagrzewające się, okrzyki dobiegały już do mych uszów. Przodem, znacznie wysforowany, pomykał w bohaterskim galopie mój pan Kwacz. Groźny nawet w ucieczce, niby odyniec, który, czując za sobą zajadły gon sfory psów i tocząc krwawemi ślepiami, sadzi, baczny na każdy ruch zbliżającego się, gorętszego śmiałka. Tak i pan Kwacz niekiedy zatrzymywał się, wygrażał dubeltówką i pięścią wykrzykując przytem jakieś mocne słowa, poczem puszczał się znów z szybkością... na

ten raz — zająca. Porównanie to jest dziejową koniecznością, bo w pewnym momencie z boku pana Kwacza wyskoczył zajączek. Najwyraźniej uważał on za niebywałą sensację ucieczkę pospołu z groźnym myśliwcem, — dość że kot wypadł na czerwonawe ściernisko po tatarce, a pan Kwacz tuż za nim, kot śmignął w kartofle, ginąc mi na chwilę z oczu, zaś pan Kwacz kilkoma potężnymi susami przeskoczył zagon i wydostał się na żytnisko. Tu już zając ze wstydem musiał go doganiać. Wnioskuję stąd, że człowiek, popędzany strachem, z łatwością mógłby łapać zające, robiąc skuteczną konkurencję rzadkim dziś chartom i powiększając w ten sposób zakres swej użyteczności. Ale żyłka myśliwska pana Kwacza miała już dość tych igraszek. Uciekinier nagle przystanął, złożył się i palnął dwukrotnie. Wtedy dopiero zając pokazał, co umie — wyciągnął się jak struna i w okamgnieniu zatarł się w ozłoconej szarzyźnie horyzontu.

Na takie „dictum" i chłopkowie oprzytomnieli. Jęli się wahać, pozostawać w tyle, aż wreszcie zaniechali pogoni. Dopadłszy swego wózka i usadowiwszy się w nim, dzielny pan Kwacz momentalnie ochłonął i odzyskał tupet.

— Cholerę w bok! Nie wam się mierzyć z panem Kwaczem! Ho, ho! Pan może myśli, żem się zmęczył? Niech Pan Bóg broni! Chciałem ich zmanić bliżej — na drogę... tu bym im pokazał! Ale gady mądre, psiakrew! Nie wiem, czy pan zauważył, ile mi zajęcy po drodze pomknęło? Napewno ze dwanaście!

— Widziałem tego dwunastego — odparłem.

— I ten dostał... niedawno „zadnim" skokiem majtał!

Ale my go znajdziemy, w Jarosławieckich burakach znajdziemy.

— Ja go nie znajdę — zaznaczyłem z całą stanowczością.

— A to dlaczego?

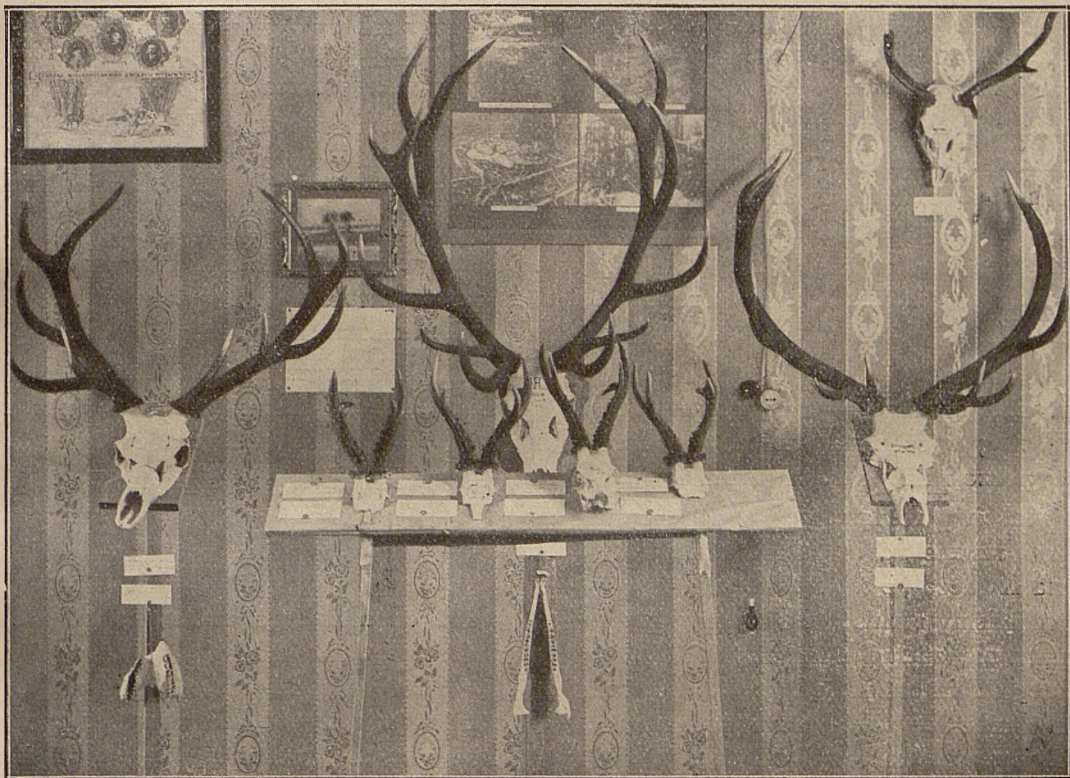
— Bo ja bardzo lubię i cenię przygody myśliwskie, ale nie w tym rodzaju.

Skonsternowany pan Kwacz szarpnął wąsa: — Bo im się tam rozchodzi o tych parę lin, co miałem dorobić. Zapłacą mi oni za wszystko, zapłacą. To ze mną robota!

Ale osowiał mi jakoś pan Kwacz w powrotnej drodze i siedział cicho. Palił tylko bezustnnie i spluwał. Swe wąsy doprowadził, zdaje się, po raz pierwszy do porządku, ciągle je kręcąc i rozczesując.

Jasio jechał wprawnie, oglądając się od czasu do czasu na ginące w oddali tereny swego chlebodawcy.

I tak w głębokiem milczeniu dowlekliśmy się do domu.



Z pokazu w Poznaniu.

V. Pan Kwacz i ustawa łowiecka.

Pewnej wiosennej niedzieli natknąłem się na pana Kwacza. Stał oparty o słup telegraficzny, który naszym obyczajem wyrastał sobie niemal ze środka trotuaru, i razem z nim dumał. Wysoce odświętne jego szaty zwisały zeń luźnie i melancholijnie, świadcząc niezbicie, że ferment zgryzoty nie oszczędza i czysto-wełnianej powłoki ludzkiej. A wąsy? Amerykanizm przejawia się u nas bez reszty tylko w tęsknocie do dolarów — inaczej wąsy pana Kwacza bezwzględnie byłyby zakupione przez jakiś instytut, specjalnie ufundowany przez zwarjowanego miljar-

dera, dla badań i dociekań nad owłosieniem ludzkości. A odsada? Żaden koń Kossaka nie miał takowej odsady. Słowem, to nie były wąsy — była to raczej wyrafinowana reklama tej chluby i ozdoby ginącej dziś męskości — w dodatku o barwach zaprzyjaźnionego z nami, wielkiego mocarstwa.

I oto te wąsy — snać targane w najwyższej rozterce ducha — strzępiły się w ponurym nieładzie.

— Co to pana tak podcięło, panie Pawle? — zagadnąłem go, przystając.

— Moje uszanowanie panu... i-i... podcięło — nie podcięło, ale że u nas żadnego ładu nigdy nie było i nie będzie — to też prawda.

— No?

— Ano z tą ustawą... niby... co do polowania.

— Ach.. łowiecka ustawa... nie miała szczęścia podobania się panu, panie Pawle. Czyżby? Przecież zagranica wzoruje się na niej. Prusacy ją chwalą. Widzi pan — dotychczas mnożyli się u nas z powodzeniem tylko myśliwi, a teraz może i zwierzyna zacznie się rozmnażać...

Pan Kwacz obruszył się: — Czytałem, czytałem — a jakże! Ale krótko i węzłowato powiem panu, że teraz to tylko chłop będzie polował naprawdę, bo się, jucha, żadnej ustawy nie boi... A żaden porządny obywatel nie będzie się mógł ruszyć z flintą. A to — ciągnął — obwody łowieckie, a to spółki, a to to... — machnął ręką — powiedz mi pan, co nam dzisiaj wolno?

— Bardzo prosta sprawa — odparłem — wolno polować we właściwy sposób na właściwą zwierzynę we właściwej porze i na własnym terenie.

— Otóż to... właściwy i właściwy. A ja panu mówię, że myśmy to i dawniej robili (tu przypomniała mi się ucieczka pana Kwacza „z własnych terenów") — tylko że wtedy mogliśmy i kłusowników gnębić i polującego psa spokojnie zatłuc. Małom to ja strzelb naodbierał. Jednego dnia odebrałem pięć sztuk i zaraz na własnem kolanie połamałem na kawałki... chrup! i już. Poluj teraz, drabie jeden!

— Wiem, wiem — przytaknąłem bez namysłu.

— Małom to ja nadarł się gardła do pastuchów i innych draniów: a nie ruszaj gniazd, a nie łapaj zajęcy, a trzymaj psa przy nodze! Małom to sideł i wnyków w zimie nazbierał! Cały skład mam na strychu... A kto zabił siedemnaście psów wściekłych dwa lata temu? A teraz niech się wściekają zdrowe, bo to zaraz sto metrów od zagrody...

— Przesadza pan, panie Pawle — wściekłe psy może pan strzelać bez ograniczeń — nawet na głównej ulicy. Ustawa tego nie zabrania.

— Nie chcę... poco mi to? — szkoda fatygi!

Żal mi się zrobiło nieszczęsnej ludzkości, której pan Kwacz tak kategorycznie odmawiał swych cennych usług, puszczając ją tem samem na niepewne losy.

— Ależ, panie Pawle! — wyjąkałem.

— Żebym ja sobie wieczorkiem nie mógł stanąć na wychodnego — na lisa, albo na koziołka. Co tu gadać... nawet na głupiego zająca. O fe!

— Zlituj się, panie Pawle... przecież...

— Żebym ja się potrzebował tłomaczyć przed policjantem, czy mi wolno przejść przez pole ze strzelbą, czy nie? Tego nie bywało i za moskiewskich czasów, chociaż porządek był. Bo rozumiem, jak ktoś zgłasza pretensję, że ten oto pan Kwacz poluje bezprawnie na moich gruntach, to co innego, a tak? Niech mi policjant udowodni, że nie wolno tu polować, a nie żebym ja to robił. Co komu do tego?

— No, wybaczy pan, ale niepodobna wymagać rzeczy niemożliwych. Wtedy policjant, czy strażnik łowiecki musiałby wozić z sobą przynajmniej cały referat starostwa, który nie pomieściłby się napewno na dwukołowym wózku.

— A niech sobie wozi... co mi do tego? Powiem tylko, com już raz powiedział: tylko chłop będzie się cieszył. Kto mu tam co zrobi? Kto dopilnuje całej tej ustawy?

— Niech pilnuje każdy... pan, ja i nawet niemyśliwy. Musimy znać i wspomagać rozumne wysiłki rządu, bo bez współpracy społeczeństwa najlepszy rząd nie da sobie rady — cytowałem komunał o wytartych zresztą łokciach.

Ale pan Kwacz miał jeszcze jedną właściwość — niezwalczany upór. Cudzą argumentację momentalnie wypluwał, jak lis trutkę... tylko nie rozgryzając jej... I teraz uśmiechnął się z wyrozumiałą wyższością, nacisnął kaszkiet niemal na nos, wyciągnął prawicę na pożegnanie i sążnistym krokiem oddalił się w kierunku przeciwległej piwiarni.

Krzyknąłem za nim wesoło: — Dobranoc panu, panie Kwacz! Unikaj pan przeciągów i noś wygodne buty, a wszystko będzie dobrze!

Obejrzał się w progu piwiarni i machnął ręką.

VI. Bywaj mi, panie Pawle!

Już od dłuższego czasu dostrzegałem, że pan Paweł mnie unika. Szpagatów nie dostarczał już szkole. Śmiertelnie się obraził, gdy magazynier dobitnie zwrócił mu uwagę, że szpagatu nie należy zlewać wodą, bo to nie jest sałata, on zaś nie jest ogrodnikiem. W dodatku szkoła nie myśli wody kupować na wagę, bo to nie jest przyjęte. Nie odwiedzał mnie, nie opowiadał mi o swych wysoce ciekawych przeżyciach, przy spotkaniu zaś kłaniał się etykietalnie i śpieszył dalej.

Fale czasu unosiły go z przed mych oczu coraz dalej i dalej, niby barwny korek. Jeszcze doszło do mej wiadomości o jakimś nieszczęsnym zającu, zabitym przezeń ponoś tuż na początku sierpnia. Okazało się jednak, że pan Kwacz wybrnął zwycięsko z tych tarapatów, bo zając był jakoby odebrany psu-włóczędze i dostrzelony tylko z czystych pobudek litości.

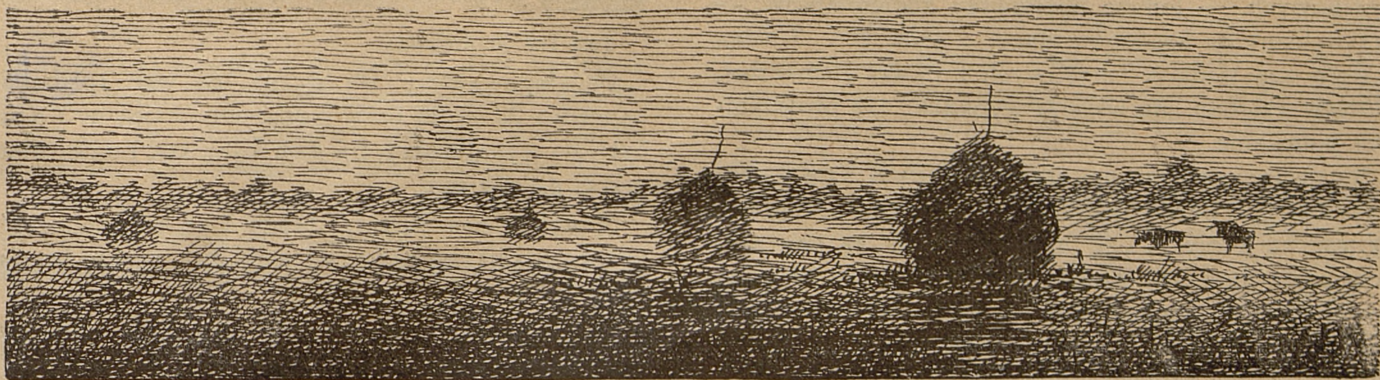
A potem wieści o panu Pawle ucichły zupełnie.

Niedawno spotkałem się z nim w autobusie. Miał wypadek z nogą, broń sprzedał, zarzucił kunszt powroźniczy, wypuścił w dzierżawę swą posesję i kupił młyn do spółki ze szwagrem — bodaj że w Puławach.

Dziś stałeś się już panie Pawle — przynajmniej dla mnie — jedynie punktem, leżącym niemal w nieskończoności... Nie jestem jasnowidzem... a więc żegnaj!

Zamość.

EDWARD NIEDZIAŁKOWSKI.



WSPOMNIENIA MYŚLIWEGO - EMIGRANTA.

PSKOWICZE.

Żob. Nr. 30.

PAWEŁ LICHACZOW.

Cokolwiek oddzielne stanowisko wśród naszych pskowiczów zajmował Paweł Lichaczow, też starszy pskowicz.

Gdy wstąpiłem do T-wa, był to już mężczyzna w sile wieku. Ciemny szatyn, z dużą brodą, o twarzy dziwnie inteligentnej, rozjaśnianej miłym uśmiechem lub skupionej zakłopotaniem, bardziej przypominał jakiegoś ziemianina niż chłopa-myśliwego.

Skutkiem pewnego polowania na niedźwiedzie miał on wtedy silnie „przeziębione nogi" i nie brał udziału w dalekich i wielkich polowaniach, zajmując się tylko letnimi łowami, bliskimi — na lisy, oraz tresurą i prowadzeniem psów.

Ale i w poważnych polowaniach był to wielki mistrz swego fachu, jak to później miałem możność się przekonać. Zawdzięczając znajomości rzeczy oraz miłemu, miękkiemu charakterowi, wszyscy go szanowali i lubili, i koledzy-pskowicze i myśliwi.

Prócz tego był on niezrównanym treserem, albo lepiej go nazwać *wychowawcą psów myśliwskich.*

Wszyscy pskowicze należeli do świetnych strzelców i doskonałych treserów, ale Paweł Lichaczow był bez wątpienia pierwszym między nimi. I co najbardziej zasługuje na uwagę, to fakt, że wówczas gdy inni pskowicze, szczególnie zaś Dm. Starostin, bezlitośnie bili swoich wychowańców podczas tresury,— Paweł *nigdy psów nie bil*, a w ostateczności uderzał je, dosłownie mówiąc, słomką. A pomimo to dawał najlepsze psy. Przekazując psy właścicielom, prosił ich również, aby psów nie bili. Rozpoznawał on charakter i „duszę" każdego psa. Przecież każdy pies posiada swoją „duszę" i czasami jaką jeszcze „duszę". A jakie psy wychodziły od niego. Były poważne (to zależne już od usposobienia), — większość — wesołych, ale ani jednego złego: były leniwe, były namiętne, były też i gorące, ale wszystkie bezwzględnie posłuszne i b. mądre na polowaniu.

Sam osobiście posiadałem dwa psy jego tresury. Pierwszy — pointer, z którym wiele lat polowałem, posiadał usposobienie poważne, wiatr średni, który dopełniał nadzwyczajnym rozumem i doświadczeniem. Drugi — irlandzki setter. Jest to rasa psów nadzwyczaj gorącego temperamentu, trudniej od innych poddająca się tresurze, ale jeśli zdarzy się egzemplarz....

Mój posiadał najwybitniejsze cechy swej rasy: był nadzwyczajnie gorący, ale jednocześnie posłuszny i miękki: wiatr ogromny, pojętność i orjentancję — rzadkie i charakter z tem wszystkiem — przemiły.

Pamiętam z nim pierwsze polowanie. Nachodziwszy się dosyć i oceniwszy jego zalety oraz pracę, siadłem na kępie, ująłem w obie ręce jego głowę i pocałowałem wprost w wilgotny nos. Niestety — niedługo z nim polowałem: podczas mojej nieobecności, wskutek niedopatrzenia skradziono go. Najintensywniejsze poszukiwania nie dały rezultatu. Żadnego psa tak nie żałowałem i teraz jeszcze żałuję, gdy sobie przypomnę.

W ostatnich latach nogi Pawła poprawiły się i brał on już udział w wielkich polowaniach. I oto na jednem z nich pokazał „swoją klasę", jak się to teraz zwykło mawiać.

Jeden z moich znajomych, niebędący członkiem naszego T-wa, obywatel guberni tulskiej — i obecnie cieszący się dobrem zdrowiem we Francji M. D. B., w zimie 1916/17 r. prosił, aby urządzić u niego w majątku polowanie, gdzie wilki „opanowały".

Posłano tam dwuch pskowiczów dla przygotowań. Ci wkrótce napisali, że wilków jest dużo i na przynętę chodzą.

Tak się jakoś zdarzyło, że w przeciągu trzech tygodni nie mogliśmy się tam wybrać. Właściciel mieszkał w Moskwie i był bardzo czynny w Ziemgorze (Związek wsi i miast, który był ogromną organizacją pomocniczą podczas wojny); czasy były gorące, wojenne i wyrwać się było wogóle trudno, a jemu szczególniej. Prócz tego nie można było trzymać zbyt długo pskowiczów poza terenami T-wa. Zbliżał się ostateczny termin.

Naznaczono polowanie na niedzielę 11-go grudnia, pisząc jednocześnie do pskowiczów i do ojca B. — staruszka, aby przepalili w piecach w dużym domu, gdzie nikt nie mieszkał i aby przygotowali wszystko na przyjazd właściciela i jego gości.

Wyjechaliśmy za dnia w sobotę 10-go. Normalnie powinniśmy byli przybyć na miejsce wieczorem, — ale powtarzam — był to okres wojny, pociągi się

spóźniały. Z rozmaitem przesiadaniem się do pociągów wojskowych, — ledwie uprosiwszy komendantów, — przybyliśmy na krańcową stację o godz. 6 — 7 rano.

Było nas siedmiu myśliwych i Paweł Lichaczow, którego wziąłem „na wszelki wypadek". Ja prowadziłem polowanie.

Na dworcu spotyka nas stangret pana B. sam jeden: wyjechał „po pana" jednym tylko koniem. „A gdzież są jeszcze konie?". „A, myśmy sądzili, że pan sam przyjedzie, przecież strzelcy podali depeszę, że wilki „wyszedłszy" i że wczoraj na przynęcie nie były". „Sami oni też wyjechali do Moskwy: pokojówki poszły do wsi: nic nie przygotowano i w piecach nie palili". Ładna historja. Niektórzy z nas chcieli zaraz jechać z powrotem do Moskwy.

Zacząłem wypytywać furmana — co i jak. Okazało się, że wilki dokończyły jeść przynętę jeszcze w środę. Ze środy na czwartek były na miejscu przynęty, ale nowej nie zdążyli położyć, a we czwartek w dzień „starszy pan" dostał przynętę i kazał ją położyć. Ale ani z czwartku na piątek, ani z piątku na sobotę wilki do przynęty nie przyszły.

No, — myślę sobie — według wszelkiego prawdopodobieństwa, wilki, włócząc się gdzieś przez dwie noce, wrócą jeszcze w to miejsce, gdzie przywykły zawsze znajdować pożywienie i w nocy na niedzielę mogły właśnie wrócić, a pskowicza, Pawła, mamy z sobą.

Wypowiedziałem swoje przypuszczenia. Paweł się na nie w zupełności zgodził. Większością głosów postanowiliśmy jechać do B. Od stacyjki — wiorst 12 — 15. Wynajęliśmy chłopskie konie i... pojechali.

Przyjeżdżamy. Zaraz odszukaliśmy jednego stróża, który wiedział o miejscu przynęty i wysłaliśmy z nim Pawła na wywiady.

W oficynie, gdzie mieszkał ojciec właściciela, staruszek 84-letni, zupełnie jeszcze czerstwy — jeden pokój, wielki dom, nieogrzany, a mróz — siarczysty.

W podwórzu — dwóch robotników, jeńców austrjackich i staruszka kucharka. Do wsi — trzy wiorsty.

Posłano po służące na wieś: napalono we wszystkich piecach, ale czy można tak odrazu nagrzać mieszkanie? Napiliśmy się herbaty u staruszka i poszliśmy do dużego domu.

Chociaż przez całą noc nikt nie spał, — myśliwi — naród wytrzymały. Od Pawła wiadomości brak. Ktoś mówi, że w ogrodzie — dużo zajęcy. Był z nami syn mój, uczeń gimnazjalny i jeszcze dwóch czy trzech z młodzieży. Zaproponowałem im, aby się postarali zabić zająca, a sam wraz z pozostałymi, tak jak staliśmy w dachach i wojłokach, pokładliśmy się gdzie kto mógł, byle bliżej pieców, aby troszkę się przespać.

Nie zdążyłem jeszcze się zdrzemnąć, gdy wbiega zadyszany mój syn z okrzykiem: „ojcze — wilki obłożone". „Żartujesz?" „Jak Boga kocham, — Paweł przysłał stróża".

Spojrzałem na zegarek — 1-a godzina. A trzeba jeszcze zebrać nagankę, zajechać i porozstawiać.

— Daleko do przynęty?

— Trzy wiorsty.

— A przez wieś?

— 5 — 6 wiorst.

— Jedziemy przez wieś i po drodze zabierzemy naganiaczy.

Tak też zrobiliśmy.

Pogalopowaliśmy, ile można, do wsi: spędziliśmy naprędce 20 — 25 ludzi mężczyzn, chłopców i dziewcząt, — wynajęliśmy dla nich kilka sań i dalej marsz, marsz na miejsce.

Spotyka nas Paweł: broda i on cały zaśnieżony uśmiecha się: „cichutko, — wilki tuż, proszę brać numery".

Stanęliśmy na stanowiskach. Dostałem ostatnie na samym brzegu wąwozu. Rozglądam się: dwa wąwozy schodzą się z lewej strony pod kątem ostrym: na vis-à-vis inny też głęboki. Pochyłość mego wąwozu pokryta małym i rzadkim laskiem, za którym widać część naganiaczy.

Oczywiście wilki leżą w lewym, gęstym wąwozie, gdzie postawiono pięciu myśliwych, — szósty — na połączeniu wąwozów.

Miot nawet nie „lisi", a poprostu „zajęczy" i moje stanowisko, prawdę mówiąc, — beznadziejne.

Wkrótce słychać: „pa-szo-oł" i bardzo prędko grzmią z lewej strony i z przeciwka strzały. Wilki rzeczywiście leżały bliziutko w lewym wąwozie. Na moje szczęście, stary basior przerwał w lewo odemnie za linję strzelców i szedł wprost na mnie pełnym chodem, mijając jednakże nieco z tyłu, więc się obracam o 180 stopni, dopuszczam wprost i kładę trupem na miejscu w odległości 6 — 7 kroków.

Kapitalny egzemplarz z ogromnym łbem.

Zabito w tym miocie wszystkiego razem 4 wilki i jednego raniono. Na drugi dzień zostaliśmy jeszcze we trzech i dobiliśmy ranionego wilka (stara bardzo wadera), zabijając prócz tego, jednego młodego.

Polowanie to zostało zapisane do księgi T-wa jako niezwykłe.

Bo rzeczywiście. Paweł był w tej okolicy pierwszy raz w życiu, bez żadnych pomocników. Waga (kierunek chodów — przesmyki) tych wilków była mu zupełnie nieznana: należało od przynęty przetropić wilki i samemu założyć, a czasu było mało. Nie można też było zafladrować kręgu, ponieważ brakło czasu i pomocników, a fladry zabrali nawet z sobą, wyjeżdżając pskowicze, my zaś innych nie mieliśmy.

Paweł sam się we wszystkiem zorjentował i szybko powziął decyzję. Z ilości zjedzonej przynęty określił, że wilki były bardzo głodne i mocno się nażarły. Dlatego znów nie powinny były pójść daleko, a będąc ociężałe, powinny mocno dotrzymywać. Z pewnością zaległy w najbliższym, gęstym wąwozie. Sprawdził. „Wyjścia" niema. Na mocy tych przyczyn i warunków postanowił, że robienie małego, zajęczego miotu nie przedstawia ryzyka.

Tak się też stało w rzeczywistości.

Po wybuchu rewolucji Paweł, mieszkając przy stacji Lubiercy, pod Moskwą, zajął się handlem rogożą i sznurami oraz tresurą psów.

Jak mi mówiono, bolszewicy silnie go „ścisnęli" t. z., mówiąc wprost, ograbili, wskutek czego umarł on prawie z głodu w 1919 r.

Pokój Jego duszy. Wszyscy, którzy Go znali na zawsze zachowają o Nim dobrą pamięć.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Z pośród młodych pskowiczów drugiego pokolenia najbardziej zasługiwali na uwagę: Grzegorz (Grisza) i Siemion Zujew.

Grzegorz był powołany do gwardji, lecz następnie został zwolniony wskutek jakiegoś defektu fizycznego, co jednak nie przeszkadzało mu być doskonałym pskowiczem. Ogromnego wzrostu, atletycznej budowy odznaczał się wybitnie surowym charakterem: zawsze równy, spokojny i grzeczny.

W szczególności wyspecjalizował się w polowaniach na lisy.

Siemion, mając 25 — 27 lat, już dorównywał w sztuce, wiadomościach i wytrwałości najlepszym pskowiczom jak Piotr i Dymitr Starostinowie.

W 1918 r. — jeden z naszych współtowarzyszy z T-wa, — poddany włoski W. A Sartini, którego bolszewicy nie chcieli wypuścić z Rosji, zamierzał przedostać się z Siemionem do atamana Dutowa, a stamtąd do admirała Kołczaka. Podczas przeprawy pod Astrachaniem przez Wołgę, bolszewicy ich zatrzymali. Sartini zdążył wskoczyć do łódki i odbić od brzegu. ale krasnoarmiejcy (lub czekiści) zastrzelili go w łódce, w oczach Siemiona, który stał na brzegu, płakał i błagał zlitowania się nad Sartinim.

Zresztą, Siemiona bolszewicy nie ruszyli i wrócił on do Moskwy. O dalszym jego i Grzegarza losie nie mam wiadomości. Być może, iż służą oni „pod dowództwem" Dymitra Starostina.

Już po napisaniu niniejszych szkiców, z wielkim żalem i serdecznym bólem dowiedziałem się, że Piotr Starostin umarł wkrótce po uzyskaniu przez bolszewików władzy. Kiedy to mianowicie nastąpiło i w jakich warunkach, nie wiem, ale przed 1920 rokiem.

Nie wiem, dlaczego zdawało mi się niemożliwem aby on służył i pracował u bolszewików, a wiadomość o śmierci jakoś umocniła takie przekonanie.

Miły „Pietia", — Drogi Piotrze Iwanowiczu. Niech ci ziemia lekką będzie. Pokój twej duszy. Nie mnie jednemu podarowałeś wiele chwil i wrażeń niezapomnianych.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Dla młodych, i mało znających zimowe polowania z pskowiczami, myśliwych uważam za wskazane podać trochę uwag, jako dopełnienie opisu tych polowań.

1. Ubranie do polowania zimowego z pskowiczami na wilki, rysie i lisy powinno być nie koloru białego, lecz jasno - szarego, ponieważ czysto biały kolor bardziej się rzuca w oczy na tle śniegu.

Kurtka na futrze powinna być b. ciepła (prócz swetra), gdyż — inaczej — łatwo zmarznąć. Mróz jeszcze nie tak silnie dokucza w lesie, ale kiedy wypadnie zająć stanowisko na brzegu lasu, przy silnym wietrze, to rzeczywiście niema ratunku przed chłodem. Im cieplejsze ubranie, tem lepiej.

Należy jednak uważać, aby grubość kurtki, szczególniej w rękawach nie przeszkadzała w strzelaniu.

Kurtka, — bez wykładanego kołnierzyka, który przeszkadza wstawić szybko i pewnie strzelbę w ramię. Zamiast kołnierza, czapka powinna mieć nauszniki.

Spodnie zaleca się robić watowane, albo też kłaść pod spód wełniane, przyczem spodnie należy wyrzucać na buty, aby uniknąć nabierania śniegu za cholewy.

Buty wojłokowe nie powinny sięgać do kolan, w przeciwnym bowiem razie mocno utrudniają chodzenie po głębokim śniegu. Do środka prócz wełnianych, grubych pończoch polecam kłaść „podwojłoki" (cienkie buciki wojłokowe).

2. Narty krótkie niezbędne w guberniach środkowych i północnych, bezwarunkowo muszą być podbite fokowem futrem, aby się śnieg nie przyklejał i lżej było posuwać.

Narty muszą być idealnie proste, inaczej, noga będzie zajżdżała do środka albo wykręcała się nazewnątrz.

Najlepiej polecić wybór i kupno nart najbardziej doświadczonym w tej kwestji — pskowiczom.

3. Broń musi być doskonale bijąca. Najlepiej kaliber 12, rzadko kto posiada kal. 10, a jeszcze rzadziej kal. 16.



16-pudowy dzik zabity przez p. Jerzego Lenczewskiego w Rudce pow. Bielskim, woj. Białost.

Na rysie używa się śrutu Nr. 3/0 — 4/0, na lisy 1 — 3/0, wilki zaś przyjęto strzelać nabojami zawierającymi przy kal. 12 dwadzieścia osiem loftek. Rozumie się, że można użyć i grubszych 20 — 16 w naboju, ale wtedy strzał nie jest tak ostry, a dla zabicia wilka nie posiada to znaczenia, gdyż na większe odległości, bez ostatecznej konieczności, wilka strzelać nie należy.

Zawsze trzeba mieć w jednej lufie — do pierwszego strzału — proch bezdymny, w — drugiej czarny.

Wyższość bezdymnego prochu jest zrozumiała. Zawsze się widzi rezultat strzału i można poprawić drugim wystrzałem. Ale za to proch czarny jest bardziej pewny, gdyż nie tak silnie podlega wpływom temperatury powietrza. Prochy zaś bezdymne gdy pobędą na mrozie, a potem w znacznie wyższej temperaturze, tracą siłę, o czem wiedzą wszyscy doświadczeni myśliwi.

Skutkiem tego poleca się chowanie ładunków z bezdymnym prochem do kieszeni, a nie do pasów, a już zawsze i stanowczo należy brać na polowanie świeżo przygotowane naboje. Oszczędność zachowywania starych, — gdyby nawet raz tylko były na mrozie, — groszowa, a może zepsuć całe polowanie. Nie trzeba przecież zapominać, że na zimowem polowaniu strzeli się do zwierzyny jeden lub dwa razy.

4. Zwierzynę, — w szczególności zaś wilka należy dopuścić na 25, 15 lub 10 kroków, rozumie się, jeśli go widać zdaleka i o ile to możliwe. Ale, jak powiedziałem wyżej, zdarza się często ujrzeć zwierzynę tak, że trzeba strzelać natychmiast, aby jej nie wypuścić. Jeśli zwierzyna idzie na strzelca, który ją widzi zdaleka, wtedy powinno się oczekiwać na zbliżenie, wziąwszy ją na muszkę, albo trzymając broń gotową do strzału w razie, gdy się zupełnie zbliży, lub gdy zechce kierować się na inne stanowisko.

W tym wypadku nie należy się śpieszyć.

Jeśli się zauważy na dalszy, niepewny dla strzału dystans, wilka idącego w bok na flandry, które są niedaleko, — nie trzeba strzelać: natknąwszy się na fladry, powróci on prawie po starym swoim tropie, albo też pójdzie wzdłuż sznurów i dlatego ma się wiele szans, że przyjdzie na to stanowisko, gdyż z jednej strony straszą go fladry, z drugiej napiera obława.

Strzelając wcześniej, tak go się przestraszy a może i rani, że przerwie przez nagankę, albo co rzadziej ma miejsce — przez fladry, w ostateczności zaś umknie na inne stanowisko, dalej od sznurów, ale już nie na to, gdzie był strzelany.

5. Lisa, jeśli się zauważy, iż widzi fladry a pomimo to idzie na nie — trzeba strzelać bez względu na odległość. O ile go się nawet nie trąci, to lis jest pewien, że strzał pochodzi od flader i skręci wzdłuż sznurów na myśliwego. Z lisami zdarza się to częściej niż z wilkami.

Wilk zauważywszy zbliska fladry, rzuca się odrazu w przeciwnym kierunku, a lis czasami je widzi i zbliża się do nich. Skoro zaś raz tylko przejdzie przez nie, to już zawsze będzie tak chodził.

Gdyby się w wyjątkowych wypadkach zauważyło, że i wilk ma jawny zamiar przejść chorągiewki, należy postąpić z nim tak samo jak z lisem.

6. Na stanowisku ręce wyjątkowo marzną. Pożądane posiadanie futrzanych rękawiczek z jednym, oddzielnym, dużym palcem, aby je natychmiast zrzucić, gdy trzeba strzelić.

Wielu myśliwych strzela bez rękawiczek, ale wielu też, a i ja w tej liczbie — w rękawiczkach. Ciepłe rękawiczki filled:ecoss'owe nie powinny być grube i nowe. Wymaga się od nich miękkości i uprzedniego obnoszenia, żeby swobodnie trafiać na właściwy spust.

JERZY DYLEWSKI.



O ODSTRZALE GŁUSZCÓW.

Na tegoroczny pokaz trofeów w Warszawie wysłałem drobiazgowe zestawienie toków głuszców z ostatnich trzech lat, które dla każdego hodowcy musiałoby być bardzo interesujące.

Toków głuszców nam znanych w Ordynacji Dawidgródeckiej jest w tym roku 33. Prawie co rok formują się nowe toki. Wszystkie toki są opolowane i każdej wiosny myśliwi razem ze strażą leśną dają mi zestawienie o ogólnej ilości głuszców na każdym toku.

Chcę tu podnieść jedną sprawę; to znaczy, ile głuszców powinno się odstrzelić na toku; ja trzymam się następującej zasady:

Na toku, gdzie śpiewa jeden lub dwa głuszce, strzelać nie pozwalam. Gdzie śpiewa 3—1, 4—1, 5—2, 6—2, 7—3, 8—3, 9—4 i t. d. wogóle staram się, aby zabito zawsze trochę mniej, niż połowę. Przy tokach, gdzie ilość przechodzi więcej niż 15, odstrzał jeszcze zmniejszam.

Jak widać z zestawienia, wynik mojej pracy w tym kierunku jest prawidłowy, gdyż stan głuszców podnosi się matematycznie co rok. Szczegółowego zestawienia tu nie podaję, daję tylko ogólne cyfry za ubiegłe trzy lata, z których jasno widać, iż rocznie pada 18% głuszców (z całej ilości znajdującej się na tokach). Przy prawidłowem prowadzeniu tych danych, o ile niema jakiejś katastrofy, powiedzieć już mogę dzisiaj, że na przyszły rok powinno paść głuszców w Ordynacji 65 sztuk.

By dojść do tych rezultatów, oprócz ciągłej pieczy, pilnowania i umiejętnego podsłuchu przez straż leśną, co uważam może za najważniejsze, należy dobrać sobie grono myśliwych, którzyby w czasie samego polowania nie rozpędzali toków przez zbytnie, późne łażenie rano po tokach.

Rozdzieliłem u siebie toki w ten sposób, aby każdy myśliwy miał dwa lub trzy toki i rok rocznie posyłam tego samego myśliwego na te same toki. Ułatwia to bardzo myśliwemu, który doskonale swój tok zna i który wiedząc, iż w następnych latach ma u mnie polować, oszczędza i sam pilnuje toków w czasie swego pobytu na polowaniu.

KAROL RADZIWIŁŁ.

WALNE ZEBRANIE KOŁA MIŁOŚNIKÓW ŁOWIECTWA W WARSZAWIE.

Dnia 28 maja 1931 r. w lokalu Polskiego T-wa Łowieckiego, ul. Nowy Świat Nr. 35, odbyło się walne doroczne zgromadzenie członków Koła Miłośników Łowiectwa, przy udziale 18 członków i zaproszonych gości, p. Walentego Garczyńskiego, redaktora „Łowca Polskiego" i p. Bohdana Gędziorowskiego, dyrektora Pol. Zw. Stow. Łow.

Prezes J. Skrzypek wezwał do uczczenia przez powstanie pamięci zmarłego członka honorowego ś. p. Juljana Ejsmonda.

Walne zgromadzenie powołało przez aklamację na przewodniczącego zebrania p. ministra inż. Kazimierza Tyszkę, na asesorów pp. prof. Józefa Gieysztora, inż. Kazimierza Tołłoczko i mecenasa Wacława Pęskiego, na sekretarza p. mecenasa Aleksandra Tallen-Wilczewskiego.

Po przyjęciu przez zebranych porządku dziennego, został odczytany protokół z ostatniego rocznego zebrania, który przyjęto do zatwierdzającej wiadomości.

Prezes Zarządu Koła, p. J. Skrzypek, złożył sprawozdanie z działalności Zarządu za rok 1930-31.

Imieniem Komisji Rewizyjnej, p. inż. St. Pawlikowski odczytał protokół tejże Komisji, stawiający wniosek udzielenia Zarządowi absolutorjum z jego działalności, co walne zebranie jednogłośnie uchwaliło.

Łowczy Koła, p. dr. M. Małachowski, przedstawił dane statystyczne za rok sprawozdawczy, porównywując je z rezultatem ubiegłych lat pięciu, poczem udowodnił cyfrowo znaczne polepszenie się stanu zwierzyny, przyczem rozkład mógłby być znacznie większy, gdyby nie okoliczność, że członkowie bardzo nielicznie brali udział w polowaniach Koła.

Nad ogólnem sprawozdaniem wywiązała się dyskusja, poczem obecni przyjęli jednomyślnie sprawozdanie do wiadomości, wyrażając jednocześnie Zarządowi podziękowanie za jego tak owocną pracę.

W wykonaniu punktu 6 porządku dziennego, wybrano przez tajne balotowanie na 3 lata do Zarządu p. Józefa Skrzypka — prezesem Koła, p. Bronisława Szybalskiego — vice-prezesem Koła, p. Stanisława Pawlikowskiego — sekretarzem, p. dr. Mieczysława Małachowskiego — łowczym, p. Stefana Fijałkowskiego — skarbnikiem, pp. Józefa Płodowskiego, Henryka Ejsmonda i Stanisława Holca — gospodarzami Koła, p. dr. Leona Jastrzębskiego — członkiem Zarządu, zastępcami łowczego — pp. B. Szybalskiego i dr. L. Jastrzębskiego, i p. Mieczysława Wachniewskiego — zastępcą sekretarza.

Do Komisji Rewizyjnej na rok jeden wybrano: p. inż. Józefa Gieysztora, p. inż. Alojzego Dąmbskiego i p. mecenasa Wacława Pęskiego.

Następnie został odczytany i wręczony obecnym członkom nowy statut Koła, oraz wręczono legitymacje członkowskie.

Na wniosek przewodniczącego, p. inż. K. Tyszki, walne zebranie wyraziło gorące podziękowanie p. prezesowi Koła J. Skrzypkowi za jego pracę i zasługi, położone dla Koła, oraz za jego wybitną działalność na polu krzewienia kultury łowieckiej.

Przewodniczący zebrania
(—) INŻ. KAZIMIERZ TYSZKA.

Sekretarz
(—) ALEKSANDER TALLEN WILCZEWSKI.

VI NARODOWE ZAWODY STRZELECKIE, MYŚLIWSKIE I ŁUCZNE O MISTRZOSTWA POLSKI.

Wyniki strzelań myśliwskich.

W drugim dniu Zawodów Narodowych, stanowiących eliminację do Międzynarodowych Zawodów Strzeleckich, Myśliwskich i Łucznych o Mistrzostwa Świata (Lwów, 23.VIII — 6.IX 1931) odbył się cały szereg strzelań ćwiczebnych. Zawody główne dały wyniki następujące:

Strzelanie do rzutków, strzelba śrutowa, maksymalny cal. 12, odległość 15 mtr., strzelanie jednostkowe, po 100 krążków dziennie przez 3 dni, ocena — tytuł Mistrza Lwowa, Mistrza Małopolski i Mistrza Polski.

Udział w strzelaniu brali członkowie Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, z których najlepsze miejsca zajęli: 1) Konstanty Łyskowski — 96 pkt., 2) Józef Kiszkurno — 96 pkt., 3) Tadeusz Barański — 92 pkt., 4) dr. Józef Ciążyński — 90 pkt., 5) Wacław Goliszewski — 90 pkt., 6) Eustachy Barański — 84 pkt., 7) por. Antoni Baranowski — 81 pkt.

Tytuł Mistrza Lwowa przyznano Konstantemu Łyskowskiemu za rozbicie największej ilości krążków w ciągu jednego dnia.

Strzelanie do jelenia w biegu, myśliwska broń kulowa, dowolna, z dowolnymi przyrządami celowniczymi, odległość 100 mtr., strzelanie jednostkowe w postawie stojącej do jelenia naturalnej wielkości i zabarwienia, przebiegającego przestrzeń otwartą długości 23 mtr. w ciągu 4 sekund; ilość strzałów — 50 do 50 poszczególnych przebiegów jelenia; strzelanie winno być ukończone w ciągu jednego dnia; ocena — Tytuł Mistrza Lwowa, Mistrza Małopolski i Mistrza Polski.

Kolejne miejsca w strzelaniu o Mistrzostwo Lwowa zajęli: 1) Aleksander Ostrowski (P. Z. S. Ł.) — 58 pkt. na 100 możliwych, 2) kpt. dypl. Jerzy Podoski (Szt. Gł.) — 54 pkt., 3) por. Kazimierz Zaleski (63 p. p.) — 49 pkt.

Kolejne miejsca w strzelaniu o Mistrzostwo Małopolski zajęli: 1) kpt. dypl. Jerzy Podoski — 93 pkt. na 150 możliwych, 2) Aleksander Ostrowski — 81 pkt., 3) por. Kazimierz Zaleski — 70 pkt.

Kolejne miejsca w strzelaniu o Mistrzostwo Polski zajęli: 1) kpt. dypl. Jerzy Podoski — 154 pkt. na 200 możliwych, 2) Aleksander Ostrowski — 146 pkt., 3) por. Kazimierz Zaleski — 130 pkt.

Mistrz Polski w strzelaniu do rzutków na rok 1929 i 1930 Józef Kiszkurno, który do ostatniej chwili miał zapewnione zwycięstwo i na rok bieżący, w ostatniej serji strzelań traci 4 rzutki, oddając tem samem zwycięstwo i tytuł Mistrza Polski Wacławowi Goliszewskiemu (P. Z. S. Ł., Warszawa), osiągającemu w ogólnej klasyfikacji tylko o jeden punkt więcej od swego przeciwnika.

Strzelanie do rzutków, strzelba śrutowa, maksymalny cal. 12, odległość 15 mtr., strzelanie jednostkowe, po 100 krążków dziennie przez 3 dni, ocena — tytuł Mistrza Lwowa, Mistrza Małopolski i Mistrza Polski.

Wobec odstrzelania przez zawodników ilości strzałów przewidzianych na okres dwudniowy, wyniki dały następujące rezultaty:

O Mistrzostwo Małopolski — 1) Józef Kiszkurno — 188 pkt., 2) Konstanty Łyskowski — 184 pkt., 3) Tadeusz Barański — 182 pkt., 4) Wacław Goliszewski — 185 pkt., 5) Józef Ciążyński — 179 pkt., 6) Antoni Baranowski — 174 pkt.

O Mistrzostwo Polski — 1) Wacław Goliszewski — 278 pkt., 2) Józef Kiszkurno 277 pkt., 3) Konstanty Łyskowski — 276 pkt., 4) Tadeusz Barański — 273 pkt., 5) Józef Ciążyński — 272 pkt., 6) Antoni Baranowski — 272 pkt.

Tytuł Mistrza Polski przyznano Wacławowi Goliszewskiemu; tytuł Mistrza Małopolski — Józefowi Kiszkurno.

WYCIECZKA DO ŻUBRÓW BIAŁOWIESKICH.

P. wiceminister spraw zagranicznych, płk. Józef Beck, zorganizował dla dyplomacji i gości zagranicznych wycieczkę do Białowieży. Do gospodarzy i współorganizatorów należeli pp.: wiceministrowa Beckowa, radca Michał Mościcki, radca Żukotyński, hr. Romer, kap. Łoś, Karczewski, Próchnicki, Darowski, Narzymski i Sośnicki. P. Stefan hr. Plater-Zyberk dokonał zdjęć fotograficznych i filmowych.

Z pośród osób zaproszonych — po za dyplomacją— udział w wycieczce wzięli: przedstawiciele sztuki i literatury, pp.: Zdzisław Kleszczyński, Walery Goetel, Zofja Nałkowska, reżyser filmowy Ordyński, Zofja Stryjeńska, Juljanostwo Wołoszynowscy, panny: Czosnowska, Borucka i Kazimiera Iłłakowiczówna oraz min. Schaetzel, Jędrzejewicz i Muehlstein.

Przewodnikami byli panowie z administracji Puszczy z dyrektorem Modzelewskim na czele.

Uczestnik wycieczki p Zdz. Kleszczyński opisał ją bardzo szczegółowo i obszernie, podając między innemi następujące szczegóły dotyczące żubrów:

„Stary, siwy gajowy, który uchodzi tutaj za największego w sprawach żubrzych „speca" i który pamięta liczne stada żubrze przed wojną, tysiące jeleni w puszczy, mrowie danieli, carskie polowania i tym podobne rzeczy, jest naszym przewodnikiem.

W cieniu drzew, blisko skraju polany pasie się żubrzy ród, a raczej jego niedobitki, z takim trudem ocalone i niedawno uroczyście w Białowieży intronizowane. Brodaty byk leży w groźnej samotności, wpatrując się w nas uważnie. Opodal leżą dwie krowy: trzecia, co się niedawno cieliła, złośliwa bardzo, stoi najbliżej. Trzeba się mieć na baczności, bo szarża tej matrony mogłaby być fatalna w skutkach. Więc kodaki trzaskają cichutko, z należnym respektem.

Wzrusza nas śliczne cielątko, które przyszło szczęśliwie na świat w puszczy — ale, niestety, o podejściu do niego niema mowy. Musimy je pieścić wzrokiem zdaleka.

Rozmowa z dyrektorem Modzelewskim napawa nas otuchą. Są wszelkie widoki, że żubry otoczone najstaranniejszą opieką, strzeżone w zwierzyńcu jak źrenica oka, będą się chowały zdrowo i rychło się rozmnożą. Jest ponoć jeszcze jedna krowa wysokocielna. Pozatem niebawem mają przybyć do puszczy, wytargowane za drogą cenę „rezerwy". Wszystko zdaje się wskazywać na to, że ta najcenniejsza, najrzadsza w Europie zwierzyna, cudem uniknąwszy zupełnej zagłady, w tych idealnych warunkach wróci kiedyś, po latach, do liczebności dawnej. Oby się to stało! — wzdychają wszyscy szczerzy przyjaciele przyrody i nemrodzi.

Rozmowy o żubrach nie mają końca. Dowiadujemy się mnóstwa niesłychanie interesujących szczegółów o narodzinach pierwszego cielątka, które przyszło na świat głuchą, zimną jesienią, a chowało się w puszystych śniegach, kpiąc sobie z mrozów. Potem o figlach jego nicponia-ojca, który je, hołdując snać zasadom spartańskim, nieraz na rogi brał i wysoko do góry podrzucał, aż strach brał, że się malec zabije: cała służba zwierzyńca interwenjowała wtedy, żeby przerwać niepedagogiczne igraszki.

Opowiadają nam jeszcze, jak dwie krowy, dawniej tu osadzone, „natarły na dwie sprowadzone z Warszawy; jak z miejsca zaczęły trykać „Warszawianki", a byk, brodacz, przyglądał się temu z flegmą".

Pozatem stwierdzono, że „zaprowadzono ład w olbrzymiem, blisko 130.000 hektarów obejmującem, białowieskiem państwie. Rozmnożono już dość poważnie wierzynę. Wzięto na munsztuk złodziei i kłusowników. Otoczono najtroskliwszą opieką, istniejące zakłady przyrodoznawcze, muzeum i t. p. Wreszcie uprzystępniono ten zaczarowany zakątek kraju pod względem turystycznym".

CZASY OCHRONNE.

Monitor Polski Nr. 165 z dn. 21 lipca 1931.

ROZPORZĄDZENIE MINISTRA ROLNICTWA z dnia 23 czerwca 1931 r.

Na podstawie art. 51 ust. 2 pkt. e) rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckiem (Dz. Ust. R. P. Nr. 110, poz. 934) postanawiam co następuje:

§ 1. Zabrania się polować na rysie w czasie od 15 stycznia do 15 grudnia każdego roku (czas ochronny).

§ 2. Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem ogłoszenia i obowiązuje do dnia 15 grudnia 1934 roku.

Z dniem wejścia w życie niniejszego rozporządzenia tracą moc obowiązującą wszelkie przepisy, wydane w przedmiocie rozporządzeniem tem unormowanym.

Minister Rolnictwa:
(—) LEON J. POŁCZYŃSKI.

LIST DO REDAKCJI.

Świetna Redakcjo!

Upraszam uprzejmie o umieszczenie w najbliższym numerze „Łowca Polskiego", w dziale „Korespondencja Łowca Polskiego" następującego sprostowania korespondencji. JWielmożnego Pana Dr. Władysława Szafera, przewodniczącego Państwowej Rady Ochrony Przyrody, umieszczonej w numerze 29 „Łowca Polskiego".

Apel mój, umieszczony w Nr. 11-ym „Łowca Polskiego", wystosowany do państwowej Rady Ochrony przyrody, nie dotyczy sprawy kwestjonowanej racjonalności odstrzału jeleni w czasie rykowiska, lecz w dosłownem powtórzeniu brzmi w ustępie przedostatnim (strona 210):

Ona (Państwowa Rada Ochrony Przyrody) wolna od zarzutu, że mówi jak Cicero, pro domo sua, powinna i obowiązana jest wypowiedzieć jasno i otwarcie swoje zdanie, a to:

Czy polowanie na zwierzynę, nie wyłączając karpackich jeleni, w czasie godów weselnych tej zwierzyny, zgodne jest z prawami przyrody i czy nie wpływa ujemnie, zwłaszcza pod względem jakościowym, na utrzymanie gatunku zwierzyny?

Prośba moja dotyczy więc nietylko jeleni, ale odnosi się do całej fauny, co niniejszem prostuję.

Ostobuż, 20.7.31. KAZIMIERZ WYSOCKI.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

Ś. p. Klemens Spława-Neyman. — W 29-ym roku życia zmarł nagle w Warszawie ś. p. Klemens Spława - Neyman, wybitny myśliwy, autor szeregu prac łowieckich, które zamieszczał w „Łowcu Polskim".

Zmarły pochodził ze znanej rodziny kresowej. Po ukończeniu w Paryżu szkoły nauk politycznych przeszedł do ministerstwa spraw zagranicznych.

Ś. p. Antoni hr. Bolesta Koziebrodzki, członek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, zmarł w Chlebowie, mając lat 60. Zmarły był wybitnym myśliwym i zamiłowanym hodowcą zwierzyny w Chlebowie, gdzie polowania należały do najlepszych na Podolu.

Ś. p. Aleksander de Paparowa Papara, delegat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich i członek zarządu Małopolskiego Tow. Łow., zmarł w swych dobrach Batiatyczach. Zmarły słynął z wysoko pojętej etyki łowieckiej i był zamiłowanym hodowcą - myśliwym.

Cześć Ich pamięci!

PLAGA KŁUSOWNICTWA

Pod Wilnem w lesie, w pobliżu wsi Szylany, znaleziono postrzelonego mężczyznę, którym okazał się praktykant leśny, p. Ardamak. Jak wynika z jego zeznań, prowadził on ostatnio zaciętą walkę z kłusownikami. Wieczorem, podczas obchodu zauważony został widocznie w lesie przez kłusowników, którzy, chcąc się zemścić na nim, dali kilka strzałów, przyczem jedną z tych kul został raniony. Policja wszczęła energiczne dochodzenie w celu wykryca przestępców.

P. Walenty Jasiński pełnił obowiązki gajowego w lasach państwowych, położonych w pow. wieluńskim. Od dłuższego już czasu prowadził walkę z kłusownikami, z pośród których szczególną natarczywością odznaczał się 40-morgowy gospodarz tejże wsi, Andrzej Konat. Na skutek skargi p. Jasińskiego, Konat został pozbawiony pozwolenia na broń i skazany na grzywnę, za co poprzysiągł gajowemu zemstę. Istotnie schwytany pewnego dnia ponownie na kłusownictwie usiłował zabić Jasińskiego wystrzałem z fuzji, za co został skazany na 2 lata więzienia. Zaledwie Konat wyszedł na wolność, do zagrody p. Jasińskiego weszli dwaj ludzie i dali szereg strzałów do niego i jego syna Czesława. Ojciec padł trupem na miejscu, natomiast syn wił się na ziemi. Bandyci, nie mając już naboi w pustych magazynach rewolwerów, zamordowali chłopca, odcinając poprostu nożem głowę od tułowia. Córka Jasińskiego zdołała się ukryć na strychu. Pierwsze podejrzenie padło na Konata, jednak ten wykazał niezbite alibi. Przypadek posłużył do wykrycia prawdy: oto jeden z uwolnionych więźniów zwierzył się swemu przyjacielowi, że w swoim czasie, kiedy to jeszcze Konat odsiadywał karę więzienia, podsłuchał rozmowę jego z dwoma kamratami; Konat prosił ich wówczas, by zamordowali Jasińskiego, obiecując wynagrodzić ich sumą 2 tys. zł., przyczem gotówką kładł na stół 500 zł. Na skutek doniesienia owego zostali schwytani Dembski, zawodowy złodziej, oraz Bronisław Skóra, vel Płożyczko, vel Puchalski, w Brześciu n/B. W rezultacie sąd skazał Dembskiego i Skórę na bezterminowe ciężkie więzienie, Konata zaś, jako podżegacza, na 15 lat ciężkiego więzienia, — wszystkich z pozbawieniem praw stanu.

W Chorzelewie pow. Mieleckim ujęła policja znanego kłusownika Antoniego Maksona, lat 24, na którego pada podejrzenie, iż zamordował leśniczego Stanisława Stałę, który był postrachem wszystkich okolicznych kłusowników. Maksona odstawiono do sądu w Tarnowie, gdzie zostanie wszczęte szczegółowe śledztwo w kierunku ustalenia, czy Makson faktycznie zamordował leśniczego Stałę.

W Kłobucku tłum złożony z około 300 osób, zatrzymał przejeżdżających: leśniczego lasów państwowych, Kowalewskiego oraz gajowych Nowaka i Wojtosika, pragnąc dokonać na nich samosądu za postrzelenie zawodowego kłusownika, Walerjana Bed-

narskiego. Śledztwo ustaliło, że napaść zorganizował zbiegły Władysław Bednarski, ojciec postrzelonego Walerjana.

W 1930 roku gajowy Jan Bzdak wraz z innymi stał na czatach w lesie Niesułkowskim nadleśnictwa Gidle w celu ujęcia kłusowników łapiących zające „na wnyki". Około godziny 11 rano zauważył na skraju lasu, Józefa Ociepę z Wojnowic, znanego kłusownika idącego w kierunku krzaków. Zaintrygowany tem, że Ociepa w niedzielę włóczy się po lesie, Bzdak począł go śledzić. Po upływie pół godziny, Ociepa wyszedł z krzaków, ukrywając coś pod kaftanem. Jak się okazało, był to zając zdjęty z wnyków. Bzdak zatrzymał Ociepę do czasu nadejścia towarzyszy. Wkrótce nadszedł leśniczy Szakowski, który rozkazał odebrać zająca Ociepie i odprowadzić kłusownika na posterunek policji w Gidlach. Ociepa początkowo usłuchał wezwania, po przejściu jednak około 200 kroków, rzucił się do ucieczki. — Schwytany przez leśniczego, obalił go na ziemię. W momencie tym nadbiegł Bzdak. Ociepa schwycił go jedną ręką, drugą leśniczego i zamierzając zderzyć ich z sobą, powiedział: „ja was zmiażdżę!". Na pomoc nadbiegli gajowy Bracki i dwaj praktykanci.

Wobec tego, że Ociepa stawiał w dalszym ciągu gwałtowny opór, leśniczy polecił związać mu nogi, a Brackiego wysłał po furmankę. Podczas pierwszego spotkania jak również i podczas szamotania się przy wiązaniu, Ociepa kopnął Bzdaka w brzuch. Bzdak w czasie walki nie zwrócił na to uwagi, gdy jednak odwoził furmanką Ociepę na posterunek, poczuł bóle w brzuchu. Ponieważ bóle nie ustawały, trzeciego dnia został odwieziony do szpitala. Okazało się, że Bzdak zachorował na skręt kiszek. Wobec tego, że Bzdak przedtem był zupełnie zdrów, skręt kiszek powstał wskutek kopnięcia Bzdaka w brzuch przez Ociepę. Tak zaopinjował lekarz i w takiem świetle przedstawiła się powyższa sprawa w czasie rozprawy sądu okręgowego w Piotrkowie. Ociepa uznany winnym zadania bardzo ciężkiego uszkodzenia ciała Janowi Bzdakowi przez kopnięcie go w brzuch, skazany został na trzy miesiące więzienia. Ociepa miał uprzednio w związku z tą sprawą, inną sprawę karną o kłusownictwo, za co skazany został na sześć tygodni aresztu i karę tę obecnie odbywa w więzieniu piotrkowskiem.

Wiadomości bieżące.

— **Z warszawskiego zwierzyńca.** — Pomimo ciężkiego kryzysu ogród zoologiczny w Warszawie doskonale się rozwija. Zwierzęta czują się w nowem otoczeniu doskonale, tembardziej, że dyrekcja stara się zwierzętom jaknajlepiej dogodzić. Ostatnio wydzielono wielki trawnik dla kangurów, otoczono siatką metalową i urządzono dla nich schron w formie ziemianki. Doskonale się rozwijają małe lwiątka, dziczki-pekari, dingo, niedźwiadki i pumy. Do osobliwości zaliczyć należy gniazdko papużek, rzadko rozwijających się w niewoli.

Dostarczono do ogrodu zoologicznego wspaniały okaz tygrysicy z Sumatry. Umieszczono ją w jednej klatce z tygrysem. W ten sposób Ogród posiada dwa okazy tygrysów. Tygrysica nie otrzymała jeszcze polskiego imienia, czuje się doskonale.

Dyrekcja Ogrodu otrzymała parę wspaniałych żórawi balearskich. Żórawie te posiadają puszyste kity na łbach, są koloru ciemno - popielatego, z różowemi bakami na głowie. Aby ptaki nie pofrunęły, podcięto im po 8 piór w jednem skrzydle. W ten sposób chcąc się unieść w powietrze, wpadają w korkociąg. Umieszczono okazy w zagrodzie dla foki bałtyckiej.

Nadeszły do ogrodu zoologicznego zakupione zagranicą 2 zebry, które umieszczono narazie w stajni przy wielbłądach. Dla zebr ma być przygotowany wielki teren za pomieszczeniem białych niedźwiedzi, odpowiednio urządzony.

Jednej z ubiegłych niedziel została tu urządzona wielka, całodzienna zabawa dla dzieci i młodzieży p. t. „Chrzest lwiątek", z wyborem rodziców chrzestnych lwiątek i odpowiednim ceremoniałem obrzędu. Pośród nagród wyznaczonych dla uczestników był żywy lis.

— **Film z dżungli.** — W warszawskiem kinie „Atlantic" wystawiono głośny film z dżungli p. n. „Rango", który swego czasu zrobił wielką furorę w Paryżu i innych stolicach europejskich. Krytyka wyraża się o tym filmie z wielkiemi pochwałami. Rzecz dzieje się na Sumatrze, w dżungli, wśród małp, tygrysów, panter, bawołów i t. d. Rodzaj ludzki reprezentują dwaj malajczycy: ojciec i syn. Posiadają oni jakąś odwieczną skałkówę, rusznicę nabijaną z przodu i czyniącą dużo huku. Z tą rusznicą chudy, niepozorny tubylec zagłębia się w dżunglę i tępi tygrysy. Bezpośredni urok filmu polega na przejmującej prawdzie podpatrzenia tajemnic dżungli, typów i obyczajów jej czwororękich i czworonożnych mieszkańców, żyjących w stanie ciągłej wojny wszystkich przeciwko wszystkim, przyczem iście epicką panikę i grozę budzi ryk tygrysa. Dzięki zastosowaniu mikrofonu, po raz pierwszy przeniesiono na ekran odgłosy puszcz tropikalnych. Twórcą „Ranga" jest E. Schoedsack, specjalista od filmów egzotycznych, któremu zawdzięczamy „Czang" i „Cztery pióra". Obecnie bawi on ponownie w dżungli w Indjach Wschodnich.

Wspaniałe jest wniknięcie w głąb puszczy, zwłaszcza chwile paniki wśród drobnej i grubszej zwierzyny leśnej, grzmot tygrysiego ryku i skomlenie mnóstwa małp. Świt nad dżunglą, przebudzenie tysiąca istot pierzastych i czworonogich, dalej noce puszczy bezsenne i przerażające odtworzyła reżyserja mistrzowsko. Śliczny i pomysłowy jest prolog z dzieckiem, które na dywanie, w salonie, ustawiło sobie „dżunglę", strzela z drewnianej flinty do tekturowego tygrysa. Film pokazuje nam wykwintne wnętrze angielskiego home'u i dwóch ludzi cywilizacji (ojciec-syn) w nim mieszkających, a obdarzonych pierwotną żyłką łowiecką. Potem każe jednemu z nich (ojcu) opowiadać realistycznie o świecie dżungli i przenosi nas nagle na Sumatrę, w dziką głębię nieprzeniknionej puszczy, gdzie mieszka łowca tygrysów, malajczyk Ali, wraz z kilkunastoletnim synem.

Jest to wierny obraz życia przyrody, dobrze zmontowany, kapitalny w zdjęciach, w napięciu utrzymujący nerwy i uwagę widza.

— **O zwierzostanie w Karpatach.** — Urząd wojewódzki w Stanisławowie zwołał konferencję w sprawie wzmożenia ruchu turystycznego w Karpatach Wschodnich, które są największą ozdobą naszego pejzażu i najciekawszym terenem wycieczkowym. Na konferencję tę przybyli przedstawiciele organizacyj

turystycznych, ochrony przyrody i t. p. oraz przedstawicile władz: ministerstwa robót publicznych, oświaty, urzędu wojewódzkiego i starostw.

Omówiono zagadnienia obejmujące kilka grup, j. to: ochronę przyrody, turystykę i sporty, komunikację, uzdrowiska, przemysł i sztukę ludową, myślistwo i rybołówstwo, zagadnienia ściśle z turystyką i jej rozwojem związane. Między innymi interesujące dane przedstawił prof. Wacek o zwierzostanie w Karpatach Wschodnich. Żyje tam 3.500 jeleni, 170 niedźwiedzi, 80 rysiów, 200 wilków. Referent domagał się utworzenia w dolinie Prutu rezerwatu myśliwskiego na terenie przynajmniej 40.000 ha, ochrony niedźwiedzia i rysia oraz intensywnej walki z kłusownictwem.

— **Budowa strzelnicy.** — Pod Warszawą ukończono budowę wielkiej strzelnicy w Szczęśliwicach na terenie przyszłego stadjonu sportowego. Nowa strzelnica posiada długość 200 metrów. Strzelnica wybudowana przez wydział techniczny Magistratu, ma być oddana Bractwu Strzelców Kurkowych z tem, że będzie ona dostępna dla wszystkich. Jest to największa strzelnica cywilna w Warszawie.

— **Rewir myśliwski Rotszylda.** — Z Wiednia donoszą, że szef wiedeńskich Rotszyldów, baron Ludwik Rotszyld, zamierza sprzedać wszystkie swoje nieruchomości znajdujące się na obszarze republiki austrjackiej, — w szczególności dobra w Waidhoffen nad Ybbs, stanowiące najwspanialszy nietylko w Europie, ale może na całym świecie obszar myśliwski, tudzież jedyne w swoim rodzaju ogrody egzotyczne na Hohe Warte w Wiedniu — i wycofać się zupełnie z Austrji. Ludwik Rotszyld, głowa rodziny, prawie nieustannie polował.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

— **Ferma lisów srebrnych w Polsce.** Niewiele osób wie o tem, że w odległości 30 km. od Warszawy, a 3 km. od Błonia w majątku Passy znajduje się wielka hodowla lisów srebrzystych, jedna z największych w Europie.

Na obszarze $2^1/_2$ ha mieszczą się klatki, w których hodowane są srebrne lisy. Ferma została zapoczątkowana z olbrzymią, nietylko na polskie, ale i na europejskie stosunki, ilością 102 par lisów. Każda sztuka posiada swój rodowód, przyczem 35 lisów było premjowanych na wystawach, 20 zaś sprowadzono bezpośrednio z Prince Edward Island, reszta pochodzi od premjowanych rodziców z Prince Edward Island.

Założenie fermy kosztowało zgórą 800 tys. zł. Należy zaznaczyć, iż utrzymanie lisów w Polsce, a więc koszty hodowlane są prawie 10 razy tańsze niż w Norwegji.

Ferma w Passach, założona przez znanego hodowcę lisów srebrnych w Norwegji, Knuta Horvei'a, jest pierwszem na tę skalę w Polsce przedsiębiorstwem.

Obecnie ferma wraz z młodymi lisami liczy już zgórą 500 sztuk.

BIBLJOGRAFJA ŁOWIECKA.

„Łowiec" Nr. 12 z r. b. zawiera: Jan Drohojowski: Z kulą na zająca. — Herman Mattausch: Ostatnie czaty (feljeton). — Frantz Munch Rozenberg: Łowy na grubego zwierza (c. d.). — Adam Rzewuski: Historyczne łowy. — A. Groetschel: Kto zdradził? — A. S. Ch.: Mozaika dzicza. — Mistrz Rotmistrz: Dalipan nie łżę (c. d.). — Roman Ćwierzewicz: Nowy środek do czyszczenia broni. — Sprawozdanie z polowań Tow. św. Huberta w Krakowie. — Z wydawnictw. — Nadesłane: Międzynarodowe Zawody strzeleckie, myśliwskie i łuczne o Mistrzostwo Świata w Polsce. — Komunikat.

„Łowiec" Nr. 13 zawiera: Inż. Antoni Korasiewicz: Czy pies myśli? — Mieczysław Mniszek Tchorznicki: W niewoli (feljeton). — Andrzej Strzemię Chwalibóg: Jak polowano z ogarami (11). — Frantz Much Rozenberg: Łowy na grubego zwierza (c. d.). — Władysław Gürtler: Dlaczego starsi myśliwi chybiają. — Korespondencje. — Sprawy Towarzystwa. — Sprostowanie.

„Łowiec" Nr. 14 zawiera: Bogumił Magdziński: Gruźlica u sarn i sposób jej zwalczania. — W. G. S.: Prawdziwa bajka (feljeton). — Inż. Antoni Korasiewicz: Czy pies myśli? (c. d.). — A. Jakubowicz: Jeszcze o wiosennych tokach. — Aleksander Ulm: Łowiectwo na Wystawie Regionalnej w Tarnopolu. — Frantz Munch Rozenberg: Łowy na grubego zwierza (c. d.). — Aleksander Ulm: Pierwszy pokaz trofeów łowieckich w Warszawie. — Korespondencje. — Komunikat.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł.
Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.
CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery—po 20 gr., najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.
W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.—Redaktor przyjmuje w poniedziałki od godziny $5^1/_2$ do $6^1/_2$ wieczorem.
Biuro czynne od 9 do 3 i od 5 do 7, w sobotę do g. 3.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

Piękny i ciekawy podarunek dla myśliwych i młodzieży,

CZESŁAWA ODROWĄŻ-PIENIĄŻKA

„W CESARSTWIE MENELIKA"

w pięknej, stylowej okładce. Bogato ilustrowana, z mapą ekspedycji i innymi dodatkami, oraz z przedmową wybitnego znawcy łowów egzotycznych, **dra Stanisława Zaborowskiego.**

Wydawnictwo ograniczone do tysiąca egzemplarzy numerowanych. **Cena zł. 16.**

Cena nienumerowanych zł. 8.

OGŁOSZENIA DROBNE

Bardzo rasowe, piękne szczenięta rasy „cocker", sprzedam tanio. Dembińska. Nekla, woj. Poznańsk.

Króliki, białe barany francuskie i szynszele, sprzedaje odznaczona najwyższemi nagrodami hodowla Janiny Hulla — Modlin.

Sprzedaję szczeniaki niemieckie gładkowłose. Ojciec „Mars" — pułkownika Mieszkowskiego. Matka „Vaga" — porucznika Hulli. Modlin — skrzynka 11.

Tow. Hodowli Psów Myśliwskich



ZAKŁAD

hodowli i tresury psów myśliwskich

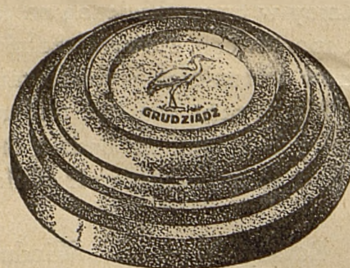
ŻÓŁTA KARCZMA w SŁUŻEWIE

tel. 8. 55. 84.

(dojazd tramwajem 12. 19 i 1, ewentualn. samochodem)
Konto P. K. O. 207-15

Pensjonat dla dorosłych psów, tresura, wychów szczeniąt, kopulacja, pośrednictwo przy sprzedaży

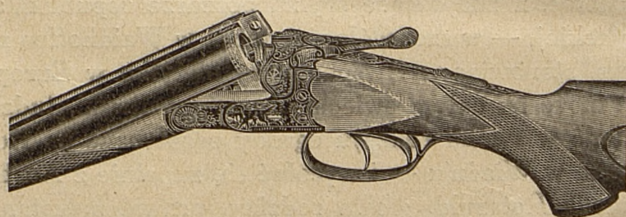
Informacje u kierownika Żółtej Karczmy p. Kowaluka lub u gospodarza zakładu p. A. Brudnickiego Krucza 34, skład apteczny telef. 851-14, do godz. 2 pop.



„CZAPLA"

najlepsze rzutki do strzelań myśliwskich, nagrodzone na P. W. K. 1929.

ST. CZAPCZYK
fabryka rzutków,
Grudziądz (Pomorze)
ul. Sienkiewicza 7.
Telefon 315



BROŃ, AMUNICJĘ,
Przybory myśliwskie i sportowe
dostarcza na dogodnych warunkach
A. DANEL, BIELSKO, ŚLĄSK,
ul. Blichowa 72.
Cenniki wysyłam na żądanie.

ZIEMIA

Krzewi umiłowanie ziemi ojczystej.
Omawia metody i drogi pracy krajoznawczej.
Podaje opisy krajobrazów, bogactw naturalnych, miast, miasteczek, wsi.
Informuje o pracach, mających na celu poznanie kraju.
Propaguje ochronę przyrody i zabytków.
Zamieszcza wskazówki turystyczne.
Prowadzi stałą kronikę krajoznawczą, turystyczną, konserwatorską i muzealną.
Rozpatrywa literaturę krajoznawczą i turystyczną.
Ilustruje licznemi zdjęciami fotograficznemi wszystkie artykuły.

20-ty rok istnienia pisma świadczy o jego potrzebie.

Prenumerata wynosi: kwartalnie zł. 7.50, rocznie zł. 29.—

WARSZAWA, KAROWA 31. TELEFON 642-50.
KONTO P. K. O. 2222.

P. P. MYŚLIWI!

Polecamy duży wybór broni i sztucerów pierwszorzędnych fabryk jak; **Aug. Lebeau, Aug. Francotte, Stassart, Delrez, Fabrique Nationale-Liége,** oraz znakomite naboje śrutowe z bezdymnym prochem „Sokół" w gilzach naszego własnego wyrobu z kapiszonem Gevelot, nie dającym rdzy, z nadrukiem

Warszawska Spółka Myśliwska, Skład Broni i Fabryka Amunicji
w Warszawie, ul. Królewska 17.

Oddziały: **Poznań,** ul. Gwarna 12. **Lwów,** pl. Marjacki 4. **Wilno,** ul. Wileńska 10.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15.